

NA NASZEJ

ZIEMI

napisał

K. KRÓLIŃSKI

NAKŁAD
TOW.
PED.

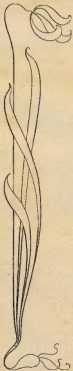
BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY

o


SERYA I.
TOMIK XLII.

3/203

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI



NA NASZEJ ZIEMI



OPOWIADANIE
DLA MŁODZIEŻY
(Z ILUSTRACYJAMI).

W. H. szkoła powszechna
żółska
S. S. WRSZELANEN
we Lwowie

LWÓW 1906.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO
Z DZIAŁALNOŚCI UDZIAŁOWEJ — LWÓW — KOPERNIKA 20.



5

2110



~~Nr. inn. 912~~

007/15718



k 359104
1079040 "

8.02.

5



I. KRAKÓW.

Adaś był niezmiernie ciekawym chłopcem. Jeszcze nim do szkoły ludowej zaczął chodzić, ile kroć wybrał się na przechadzkę czy to z ojcem, czy z matką — zasypywał ich mnóstwem pytań. Każda rzecz interesowała go niezmiernie, o wszystkim chciał wiedzieć, wszystkiego dociec.

Szczególnie zaciekawiały Adasia różne zjawiska przyrody. Wsparty na łokciach o warcaby okien wpatrywał się godzinami w srebrzystą tarczę księżyca i przemyślał, w jaki sposób ta tarcza może swobodnie w wyżynie wisieć, ba, nawet odbywać tak wielką drogę. Podziwiał bezmiar gwiazd w szarym błękitcie nocy, usiłował je nawet obliczyć.

W prawdziwy kłopot wprawiało go słońce. Wiedział od rodziców, że stworzył je, zarówno jak i księżyc i gwiazdy, Wszechmocny i Dobrotliwy Bóg, ale ciekawość, na czem to słońce wisi, kto mu dodaje wciąż drewno do palenia, czemu nie przygasa nigdy — była dla niego męczarnią.

Adaś z tego nie zwierzył się rodzicom i bardzo źle zrobił. Dopiero pewnego razu starszy brat ofukał

go i powiedział, że na takie mądrości jest on, Adaś, stanowczo za głupi. To go udobruchało. Skierował swoją ciekawość gdzieindziej. Począł się zajmować badaniem roślin; przyglądał się listkom, kwiatuśkom, owocom, ziarenkom; badał życie różnych drobnych stworzeń, jak mrówek, muszek, podpatrywał życie ptastwa, wogóle Adaś miał tak niespokojną naturę, że wszyscy go podziwiali, a rodzice nawet się obawiali, żeby ta ciekawość nie zaszkodziła mu na zdrowiu lub umyśle.

Dopiero, gdy Adaś wszedł do szkoły ludowej — ciekawość jego zmieniła się trochę. Już nie pragnął wiedzieć wszystkiego naraz, ale powoli, stopniowo przyswajał sobie wiadomości o świecie. Mimo to, ilekroć znalazł się wśród pięknej okolicy czy to na przechadzce za miastem, czy w podróży z rodzicami — tracił swoją powagę i klaskał w dłonie jak dziecko, na widok łąki ze stadem bydła i gromadki pastusząt, chłopów, orzących czarne role itp., a gdy ujrzał góry i lasy — zapominał o wszystkim i wyobrażał sobie, że go aniołowie do nieba niosą i po drodze widzi rozmaite Boże cuda.

Z biegiem lat jednak Adaś nabierał powagi i oto obecnie, już jako uczeń trzeciej klasy gimnazjalnej, mniema, że jest zupełnie rozumny, a jeśli mu matka, lub kto ze starszego rodzeństwa powie: dzieciuchu, uważa to za dotkliwą karę. Adaś ma trzynaście lat! Toż to młodzieniec prawie! A ponieważ w ustach swoich od dzieciństwa nie miał kropli żadnego gorącego trunku, nie powąchał nawet dymu z papierosa, ponieważ spożywa zawsze posiłek w miarę i nie jest za łakociami, ponieważ wreszcie nie leni się i wstaje zawsze wcześniej rano, a za to wcześniej idzie spać, ponieważ dba o czystość ciała i uważa ją za wielką cnotę. — wyrósł nad wiek, zmężniał tak,



Kościół N. P. Maryi, zwany Maryackim obok Rynku w Krakowie.

ze niektórzy o kilka lat starsi od niego, nie poszliby z nim w zapasy.

Zbytecznem byłoby opisywać, jak go rodzice kochają. Dość, że za bardzo dobre świadectwo (Adaś oceniający stopień się nie ubiegał) postanowił ojciec wynagrodzić go sownie. Długo o niczem nie mówił, a tylko tajemniczo coś niezwykłego zapowiadał, aż wreszcie na trzy dni przed ostateczną chwilą przywołał Adasia i oznajmił, aby się przygotował do podróży w Tatry.

W Tatry!... Adaś o nich słyszał i czytał wiele, wiedział więc, że to najwspanialszy zakątek naszej wielkiej ziemi, że to skarb nad skarby, którym z dumą chlubi się każdy Polak!

Adasiowi jakby się dawne dziecięce lata wróciły. Klaskał w dłonie, skakał z uciechy, a co najgorsze stracił apetyt, zaś w nocy nie mógł ani oka zmrużyć.

W jego wyobraźni majaczyły turnie olbrzymy, co niemal w niebo szczytami swymi sięgają. W uszach szumiały mu pacierze odwiecznych jodeł a grzmoty wodospadów odbierały mu spokój. Przemógł się jednak i nad ranem usnął. Że mu się one Tatry nasze wspomniały śniły — nie ulega żadnej wątpliwości, bo Adaś całą siłę duszy wyteżył, całą istotę swą w tę stronę skierował.

Nareszcie nastał upragniony dzień wyjazdu.

Ojciec z Adasiem wsiadł do wagonu trzeciej klasy nie tyle dla oszczędności, ile dla zbliżenia się w czasie jazdy do podróżnych, a mianowicie do chłopów, jeżdżących tą klasą. Trzeba dodać, że ojciec Adasia pisał naukowe rzeczy z życia ludu i ludem bardzo się zajmował. W czasie podróży Adaś dowiedział się o wielu ciekawych, a dotąd nieznanym mu jeszcze rzeczach.

W Krakowie zatrzymali się na noc i zabawili przez następny dzień.

Adaś samemu sobie nie dowierzał i pytał się w duchu, czy to jawa, czy sen. O Tatrach myślał przez trzy dni ostatnich — o Krakowie zapomniał. I oto teraz nie może się nadziwić wszystkiemu, co świadczy o naszej świetnej przeszłości, o naszej potędze!

Zwiedzili naprzód rynek, przy którym mieści się najpiękniejszy w Polsce kościół tzw. Maryacki, którego wieże strzelają w jasne niebo. Wewnątrz kościoła taki panuje mrok, że w mroku tym człowiek sklepień wysokich dojrzeć nie może. W kościele tym nagromadzono tyle drogich sercu Polaka pamiątek — że nawet ludzie starsi doznają na ich widok dziwnych wzruszeń i rozrzewnienia.

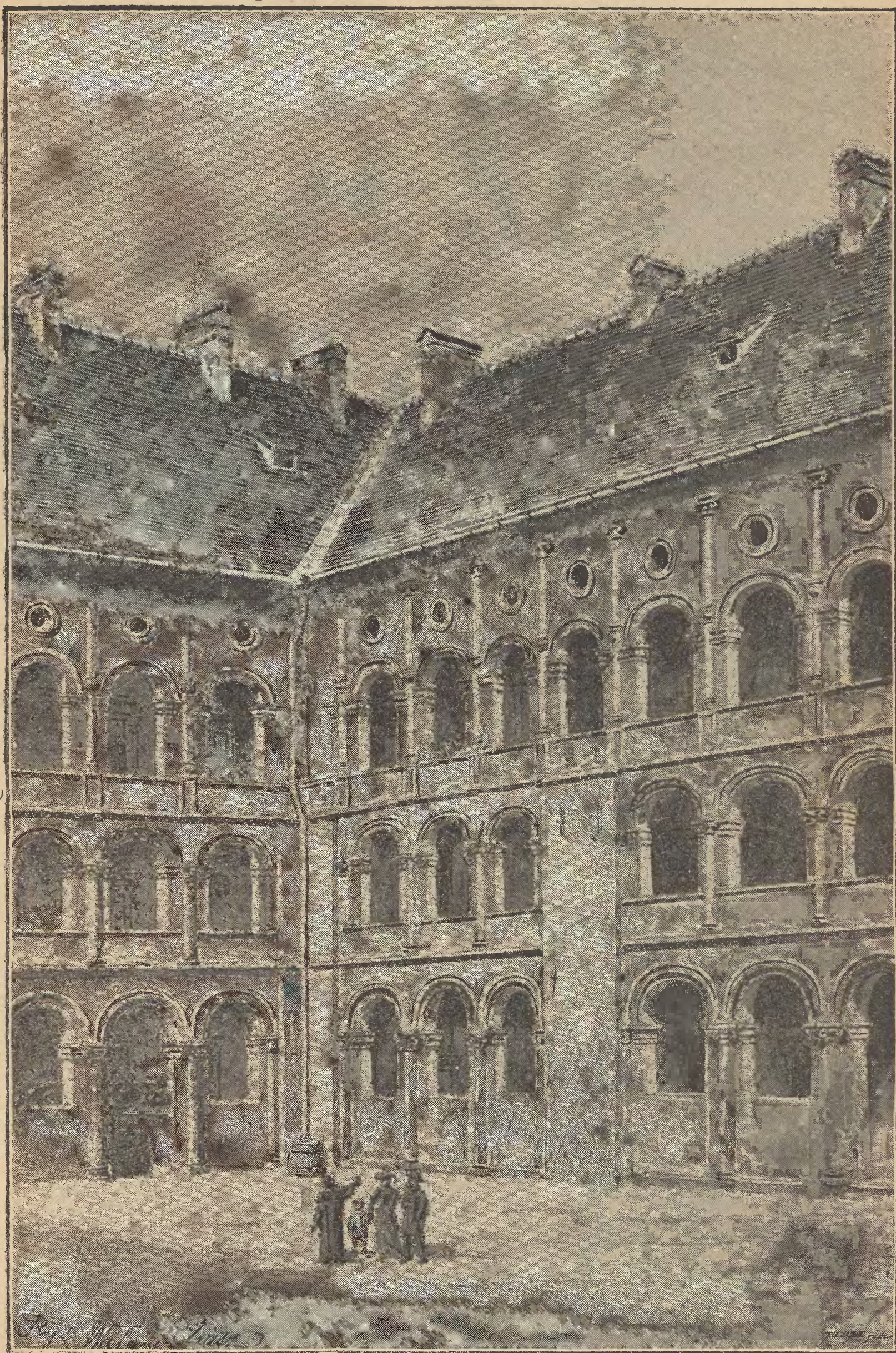
Z kolei zwiedzili olbrzymi budynek założony przez Kazimierza Wielkiego zwany Sukiennicami, stojący w samym środku rynku. Tu zakupili w kramach niektóre drobiazgi do podróży i oglądawszy piękny pomnik Mickiewicza ruszyli na Wawel.

Było to w tych czasach, kiedy wojsko austriackie, mieszkające w zamku królewskim opuszczało tę siedzibę królów polskich na zawsze.

— Czy Wawel służy za koszary? — zapytał Adaś ojca, widząc jakichś żołnierzy, wiozących z dziedzińca Wawelu paki na wózku.

— Tak, synu. Służył on kilkadziesiąt lat wojsku austriackiemu za koszary, ale dziś — inne jego przeznaczenie. Za parę dni władze wojskowe oddadzą Polakom napowrót klucze w ręce.

Wawel, moje dziecko, był siedzibą naszych królów aż do końca XVI. wieku, t. j. do czasu, gdy Zygmunt Waza przeniósł stolicę królewską do Warszawy.



Zamek królewski.

A wiesz, jaki był jego początek?

— Na tej górze, wawelską zwanej, król Kræk, czyli Krakus zbudował przed wiekami zamek z drzewa, i otoczył go częstokołem z pali w ziemię wbijanych. Zrąb zamku był zbudowany z ogromnych kłód drzewa, a dach pokryty darnią, aby w ten sposób nie łatwo mógł go nieprzyjaciół w razie oblężenia podpalić. Naokoło były drewniane galerie, z których załoga raziła nieprzyjaciół z procy lub z łuku.

Przy tym drewnianym zamku znajdowała się świątynia pogańska czyli gontyna, na której miejscu po zaprowadzeniu chrześcijaństwa stanął drewniany katolicki kościół. Gdy Kazimierz Odnowiciel przeniósł swoją siedzibę z Gniezna do Krakowa, zaczęto kościół murywać, a mianowicie wymurowano podziemia, czyli kryptę św. Leonarda.

To mówiąc, weszli do świątyni. Na pierwszy rzut oka spostrzegli duży ołtarz na samym środku. W ołtarzu tym znajduje się srebrna trumna, spoczywająca na ramionach czterech rzeźbionych aniołów. Ojciec mówił szeptem do Adasia:

— Za panowania Władysława Hermana, kiedy kościół był już katedrą, przeniesiono tu zwłoki Stanisława, biskupa-męczennika, zabitego na Skałce przez króla Bolesława Śmiałego. /Gdy później kościół uznał męczennika świętym, zwłoki złożono do kamiennej trumny jako relikwie, a w późniejszych czasach fundowano srebrną. Przy tym ołtarzu św. Stanisława odbywały się, od Łokietka począwszy, koronacje wszystkich królów polskich. Za Łokietka zniszczył pożar katedrę. I oto wtedy zaczęto budować tę wspaniałą świątynię, którą widzisz, ukończono ją za Kazimierza Wielkiego a pó-

źniejsi królowie dobudowywali kaplice boczne, których jest ośmnaście.

Następnie ojciec pokazał Adasiowi grobowiec Władysława Łokietka po lewej stronie wielkiego ołtarza, tudzież grobowiec Kazimierza Wielkiego. Wspanialszym jest ten ostatni, wykonany z czerwonego marmuru, przedstawiający postać tego króla i posiadający tak prześliczne rzeźby w marmurze, że należy do najwspanialszych grobowców na świecie.

U wejścia do zakrystyi wskazał ojciec Adasiowi krzyż, przed którym modliła się królowa Jadwiga, a obok strzeżenie złote wodza tureckiego z pod Wiednia, pokonanego przez króla Sobieskiego. Następnie pokazał marmurowy sarkofag Jagielly, dalej zaś w kaplicy świętokrzyskiej grobowiec Kazimierza Jagiellończyka, wykonany przez sławnego rzeźbiarza Wita Stwosza, tego samego, co rzeźbił wielki ołtarz w kościele Maryackim. Grobowiec ten również należy do arcydzieł świata.

Król Zygmunt I. sprowadzał budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy z Włoch, którzy wybudowali piękną bardzo kaplicę, nazywaną dziś Zygmuntowską. Rzeźby tu precudne.

Po wymarcu Jagiellonów smutne nastały w Polsce czasy. Wtedy to w tej katedrze miewał prorocze kazania sławny w historii naszej ks. Piotr Skarga. Niedługo, a do Polski wtargnęli Szwedzi, z królem Karolem Gustawem na czele i zajęli Kraków tudzież Wawel. Jeden z księży kazał srebrną trumnę św. Stanisława zakopać na cmentarzu. Podpatrzył to jakiś żyd i doniósł Szwedom, którzy ją znaleźli i zabrali. Z samej katedry wywieźli oni 80 wozów samych kosztowności! Polacy sprowadzili inną trumnę z Gdańska, tę właśnie, którą widzisz.

W czasie upadku Polski, państwa zaborcze, ilekroć zajęły Kraków, zagarniały też i Wawel, rabując lub niszcząc nasze pamiątki w sposób iście barbarzyński. Np. Prusacy, zajmwszy pewnego razu Wawel, nawet klamki i zawiasy od drzwi poodrywali!

Po upadku Rzeczypospolitej krakowskiej w r. 1846 rząd austriacki, obejmując Kraków, zajął i Wawel i uczynił zeń koszary dla wojska. Obecnie po długich targach i zabiegach kraj wykupił od rządu austriackiego tę najdroższą pamiątkę naszą za przeszło półtrzecia miliona koron. Naturalnie zamek trzeba odnowić, bo wojsko zniszczyło go okrutnie. Będzie to kosztować znowu miliony. Ale naród poniesie chętnie datki, by uczcić tę pamiątkę najdroższą, która wciąż świadczyć nam będzie o naszej przeszłości...

— Czy tylko jako pamiątkę, tatusiu? — przerwał mu Adaś — wszak gdy Polska zmartwychwstanie, trzeba jej będzie siedziby dla panującego...

Serce Adasia zaczęło bić, jak młotem, kiedy ojciec oznajmił, że właśnie będą zchodzić do grobów królewskich w podziemiach pod kościelną posadzką. W pierwszej chwili pociemniało mu w oczach ze wzruszenia. Zchodzili w milczeniu głębokiem, nic nie mówiąc. Przewodnik, który niósł przed nimi światło, oznajmił, że tu właśnie jest krypta św. Leonarda.

Dziwne, ogromnie dziwne uczucie opanowało Adasia w tej ciszy grobów. Ile tu sławy spoczywa, jaką moc miały ongiś te prochy naszych mocarzy!

Krypta jest właściwie kościółkiem. Sklepienie łukowe na czterech oparte słupach. Po lewej stronie od wejścia znajduje się ołtarz św. Leonarda, patrona więźniów.

Adaś popatrzył nań uważnie. Święty ów siedzi w sukni pielgrzyma i dźwiga w rękach rozkute kajdany..



— Boże! — szepnął Adaś z głębi duszy — Boże, kiedyż rozkujesz kajdany nasze, co nas od stu lat gniołą śmiertelnie... Boże, Wielki Boże!...

— Tu w tym grobowcu, z białego kamienia wykutym — mówił przewodnik, a z mowy jego poznać było, że objaśnienia te powtarza już może poraz kilkutysięczny — leży książę Józef Poniatowski, sławny wódz na cały świat. Utonął w Elsterze r. 1813.

Przystąpili do drugiego sarkofagu, na którego boku widnieją kosy złożone na krzyż i krakuska, a na poprzecznym popiersie Kościuszki i herb. Wewnątrz sarkofagu kamiennego znajduje się trumna ołowiana, a w niej bohater Kościuszko.

Tu nie przewodnik, ale ojciec odezwał się dziwnym od wzruszenia głosem:

— Patrz, synu, to miejsce obok królów zajął człowiek, co w sukmanę chłopską się ubierał i lud na armaty moskiewskie wiódł, bohater to nasz najdzielniejszy i nasz ostatni król, chociaż korony nie miał na głowie nigdy.

Miną wieki, a sława i cześć i pamięć Jego żyć będzie wśród narodu zawsze, zawsze... Bo on kochał ojczyznę z całej duszy, on pierwszy kochał — lud!...

Adaś uczuł na twarzy gorące łzy, które spływały szybko na posadzkę tego dziwnego podziemia; przewodnik postąpił naprzód i mówił:

— Ta, z czarnego marmuru trumna po prawej stronie mieści w sobie zwłoki króla Michała Wiśniowieckiego, a tu przy tej ścianie, ta również z czarnego marmuru — zwłoki króla Sobieskiego, szlachcica z rodu, co to potęgę turecką złamał na zawsze pod Wiedniem. Na trumnie jest cyfra J. III. S. okolona złotym węzłem, na wieku w głowach złota korona, spoczywająca na mieczu i berle. Na wieku jest napis:

„Śmiertelne zwłoki Jana Sobieskiego Króla Polskiego, W. X. Litewskiego, który Wiedeń od oblężenia, Niemcy, A Raczej świat Chrześcijański Od Zagrożającej Tureckiej Niewoli Wielkiem Zwycięstwem uwolnił. Z należną Czcą dla Bohatera, Dopełniając Pobożnego Obowiązku W tym Grobowcu Złożył Stanisław August Król R. 1783. Zanosimy modły do Ciebie Panie za zmarłym, Który za życia obronił swoim męstwem rodaków i obcych“.

— W sarkofagu — mówił przewodnik — stoi trumna dębowa na 4 orłach, obita złotą materią. Król przyodziany jest w bogato złożoną i srebrzoną kapę, na głowie ma koronę srebną, powleczoną złotem.

Tuż obok spoczywa Władysław IV. Wieko trumny uwieńczone królewską koroną, na bokach płaskorzeźby, przedstawiające najważniejsze wypadki jego panowania. Są tu jeszcze 4 trumny z jego rodziny, a w kacie po lewej ręce trumna żony Sobieskiego.

Obok trumny Władysława IV. prowadzi przejście do dalszych sklepów grobowych. Tu po prawej ręce znajduje się wielka i piękna trumna Stefana Batorego. W r. 1876, gdy restaurowano kaplicę jego imienia, gdzie zwłoki tego męża spoczywały, postanowiono je przenieść, tu między innych mocarzy. Trumna była nadpsuta, musiano ją otworzyć wobec mnóstwa księży i przedstawicieli miasta. Dzwon Zygmunt zajączał wtedy żałośnie, a obecni odmówili modlitwy. Król spoczywa w kapie złocistej, na głowie ma koronę, w ręce ma berło, przy boku szablę. Po wierzchu posypany był chmielem. Urządzono wówczas pogrzeb, wstawiając zwłoki do obecnej trumny, rzeźbionej po bokach.

Od tej trumny udali się nasi znajomi do sklepu od strony wschodniej kościoła, gdzie spoczywa August II. Sas i Zygmunt III. Waza, oraz dwie jego żony z domu austriackiego, tudzież synowie: kardynał Jan Albert, król Aleksander i córka Anna Marya.

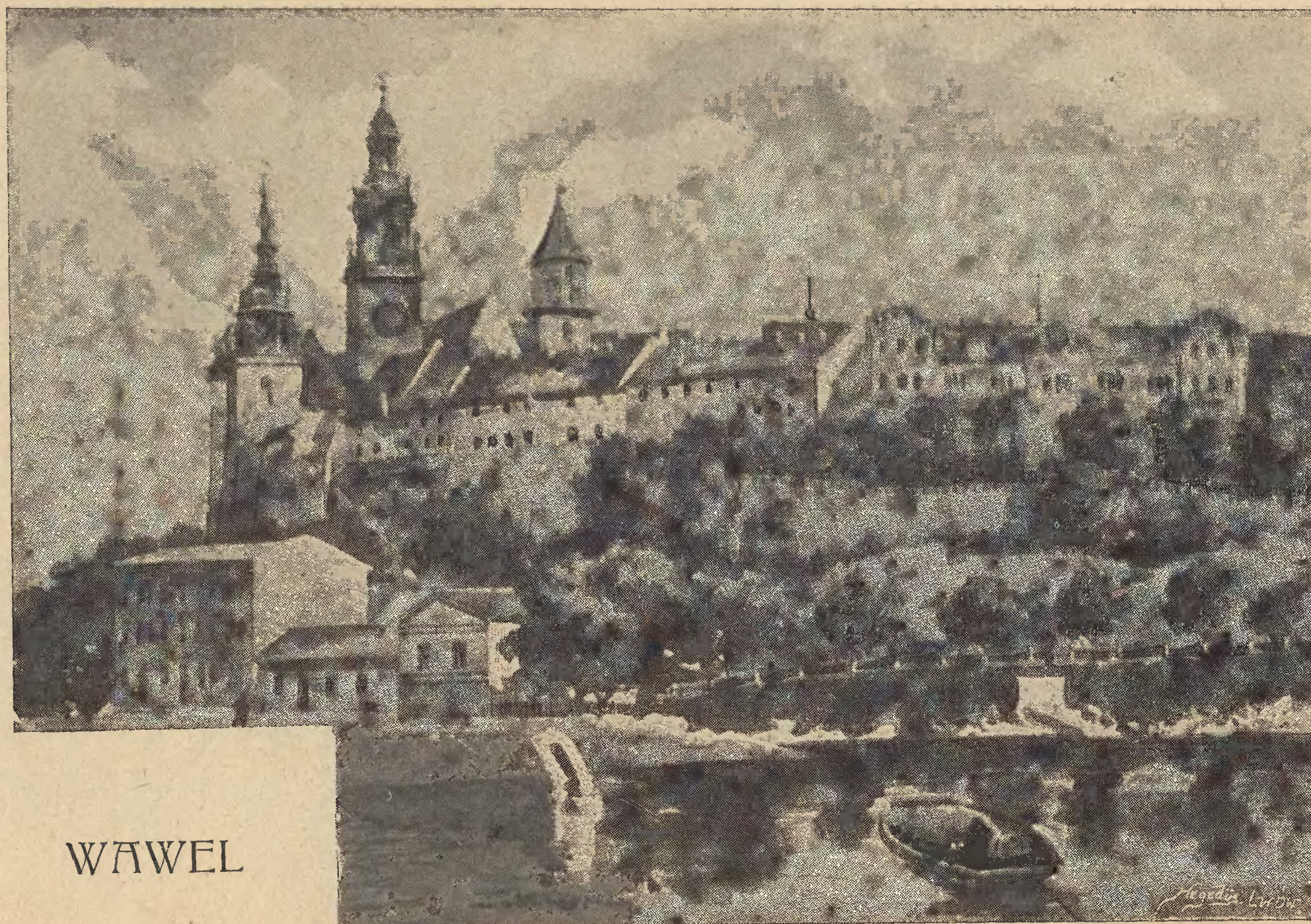
Trumna Zygmunta III. jest z cyny zrobiona i spoczywa na 8 lwach, o boki trumny opiera się 6 rycerzy w zbrojach i 2 niewieście postacie. Na trumnie są rzeźby, przedstawiające zdarzenia z wojen z Turcyą i z Moskwą. Na wieku jest prześliczna rzeźba, przedstawiająca Chrystusa na krzyżu. Króla złożono do trumny w kapie jedwabnej, złoconej i wogóle w ubiory, jakby biskupie, tylko że na głowę dano mu koronę, a w ręce oznaki królewskie (berło i złote jabłko).

Weszli do obszernego sklepu pod kaplicą Wazów. Jest tu 6 trumien.

— Na środku — mówił przewodnik — tu oto w tym sarkofagu z białego kamienia spoczywa król Jan Kazimierz, tu obok zona Władysława IV., tu po drugiej stronie Barbara Zapolska, żona Zygmunta I., od wschodniej strony Zygmunt August, ostatni Jagiellończyk. Trumna tego ostatniego jest najpiękniejsza. Od strony zachodniej znajduje się trumna Anny Jagiellonki.

Następnie weszli długim kurytarzykiem do sarkofagu Zygmunta I. Sarkofag ten prosty na zewnątrz, ale, jak mówił przewodnik — wielkie w nim były klejnoty.

Zygmunt I. Stary — mówił — ubrany był w kapę z bogatej materyi, na nogach miał buty ze złotemi ostrogami, na rękach rękawice jedwabne i drugie na nich stalowe. Na palcach miał drogie pierścienie, na szyi złoty łańcuch z krzyżem z drogiego kamienia, na głowie koronę złotą, przy boku berło i jabłko królewskie, a przy drugim miecz. Córki jego włożyły też do trumny dwa wielkie medale złote z wizerunkiem twarzy ojca. Podobnie bogato był ubranym i Zygmunt August, lecz dziś już niema nic z tych kosztowności w trumnach Jagiellonów... Zabrali je Prusacy, gdy zajęli Wawel w czasie rozbiorów!...



WAWEL

— Tak — dodał ojciec — ci barbarzyńcy nie dali spokoju nawet prochom naszych monarchów, lecz rozbijali trumny i zdzierali nietylko złoto, ale nawet jedwabie!... Wiesz już teraz, dziecko moje, czem są dla nas Prusacy?...

— Wiem — odrzekł po chwili Adaś — a echo głosu rozeszło się wśród sklepień, jak jęk umarłych.

Postępowali z powrotem w głębokiem milczeniu. Umilkł i przewodnik, na jego twarzy znać było przygnębienie, chociaż wśród grobów tych niezliczone już był razy.

W pamięci naszych znajomych przesuwwały się kolejno dzieje Ojczyzny i ta jej sława, ta potęga! A oto już u wyjścia św. Leonard przypomina im znowu, że... naród w niewoli jęczy, że kajdany gniotą mu kark...

Adaś, ocierając wciąż łzy, doznał jakby szału. Już już miał krzyknąć co sił: Hej, wy, Jagiellonowie, Sobieski, Batory, Kościuszko, wstańcie, wstańcie, wstańcie, skruszcie te kajdany!...

Ojciec, jakby odgadł myśli syna, rzekł z cicha:

— Nie wstaną ci nasi mocarze, nie; ale wstanie w ich imieniu wielki niezwyciężony bohater-lud! Chodź, synu, może dzień ten niedaleki!

Udali się jeszcze osobnym kurytarzem do jednej krypty, gdzie spoczęły zwłoki tego, co „kochał cały naród i objął w ramiona wszystkie jego pokolenia“ — wieszcz, Adam Mickiewicz.

Nietylko Adaś, ale i ojciec w głębokiej był zadumie. Dopiero gdy weszli na szczyt wieży — rozjaśnił im oblicza widok starego naszego dzwonu Zygmunta, który tylko podczas wielkiej uroczystości się odzywa, jakby się oszczędzał, jakby wypoczywał, by niebawem zagrznieć na całą Polskę wieścią naszego zmartwychwstania!

Do poruszania tego dzwonu potrzeba dwunastu ludzi. Samo serce przedstawia tak olbrzymią masę żelaza, że Adaś, którego ojciec podniósł, żadną miarą nie poruszył go ręką z miejsca.

Z wieży roztaczał się wspaniały widok na Wisłę, królowę naszych rzek, co wstęgą siną opasuje Kraków i płynie dalej, hen ku północy. Uwijały się po niej liczne czółna, galary, a nawet małe parowe statki.

Po zejściu z wieży zwiedzili jeszcze skarbiec królewski. Są tam przeróżne zbroje, jak również rzeczy drogocenne. Między innemi stół, u którego odbywał się obrzęd chrztu króla Jana Sobieskiego. Stół ten w czasie obrzędu chrztu pękł nagle, co dało powód do różnych wróżb. Sprawdziły się one, bo istotnie król ten był jednym z najpotężniejszych, złamał potęgę turecką, zagrażającą nie tylko Polsce ale i Europie.

— A... a.. czy są tu może jakie korony królów?

Ojciec pokiwał smutnie głową i odrzekł:

— Nie ujrzysz ich, dziecko moje. Zabrali je potajemnie Prusacy, nie tylko stąd, ale nawet z głów zmarłych królów, jak ci już mówiłem. Opowiadają, że klejnoty z koron polskich widziano na dworze pruskim. Stroiły się nimi królowe...

Przed południem jeszcze zwiedzili nasi podróżni Skalkę, tj. kościół św. Stanisława, w którym święty ten został podczas mszy św. zabitym. W krypcie tego kościoła spoczywają zwłoki zasłużonych mężów, jak sławnego dziejopisarza polskiego kanonika Długosza, poety Wincentego Pola, co to napisał precudną „Pieśń o ziemi naszej“, i Kraszewskiego I. J., który napisał około sześciu set powieści i t. d.

Potem zwiedzali liczne kościoły, których ogółem w Krakowie jest 40, a w każdym jakaś pamiątka, ja-

kieś relikwie drogocenne. Ciekawemi dla Adasia były muzea: narodowe i Czartoryskich z mnóstwem pamiątek, dalej dom malarza Jana Matejki, twórcy obrazów „Bitwa pod Grunwaldem“, „Unia lubelska“ i t. p. Nie ominęli też i uniwersytetu Jagiellońskiego, założonego w r. 1364 przez Kazimierza Wielkiego. W podwórzu uniwersytetu znajduje się pomnik Mikołaja Kopernika. Uczony ten, Polak, pierwszy odkrył, że nie słońce naokoło ziemi, ale ziemia naokoło słońca się obraca.

Adasia to bardzo zaciekawiało, bo ileż to razy myślał on o słońcu, o księżycu i pragnął zbadać tajemnicę tych jasnych światów.

Czas naglił i wobec tego nasi podróżni musieli szybko chodzić, a do dalszych wycieczek używać elektrycznych tramwajów lub dorożek. I tak — zwiedzili zaciszny park krakowski, z pięknem jeziorem w środku. Mieści się tam też tzw. zwierzyniec, w którym hodują różne zwierzęta dzikie (coś w rodzaju menażeryi). Następnie udali się do nowego parku za miastem, zwanego parkiem Jordana. Założony on został kilkanaście lat temu staraniem dra Jordana, wielkiego miłośnika młodzieży. Skoro wiosna zabłyśnie, park ten w godzinach popołudniowych przepełniony jest młodzieżą. Gimnastykę, gry i zabawy, biegania, ćwiczenia różne wykonuje młodzież pod dowództwem kierowników z pośród siebie obieranych.

Nie potrzeba wcale się rozwodzić nad tem, jakim dobrodziejstwem dla młodzieży jest ten park, ile on zdrowia przyczynia, ile i jak wyrabia siły fizyczne. Młodzież krakowska należycie to ocenia i tłumnie tu codzień spieszy.

Nasz Adaś, widząc to wszystko, prosił ojca, aby go przeniósł do którego z gimnazyum w Krakowie, na co

ojciec na razie nie mógł się zgodzić, ale obiecał postarać się o to w niedalekiej przyszłości.

Po obiedzie nastąpiła wycieczka dorożką na kopiec Kościuszki, usypany ręką ludzką na górze św. Bronisławy ku nieśmiertelnej pamięci bohatera narodowego i zwycięzcy z pod Racławic. Piękny stąd roztacza się widok na kilka mil. W mglistej oddali od strony południa zauważył Adaś góry Karpaty a dalej Tatry, co go niezmiernie cieszyło, albowiem już jutro oglądnie je z bliska.

— Patrz, Adasiu rzekł ojciec, wskazując w niewielkiem oddaleniu bardzo urocze miejsce. — Tam znajdują się tzw. „Panieńskie Skały“ i bardzo szkoda, że nie możemy ich zwiedzić. Opowiadają, że w czasie napadów tatarskich schroniły się w te skały panny przed barbarzyńcami i stąd powstała ta nazwa. Skały te przedstawiają cudne widoki. Między innemi ślicznie wygląda grota, w której znajduje się statua Matki Boskiej. U stóp Jej wytryska obfite źródło.

Dalej o milę drogi, na Bielanach, wśród drzew cienistych znajduje się klasztor Kamedułów. Jest to zakon najsurowszy ze wszystkich. Zakonnikom nie wolno nic do siebie mówić prócz słów „Memento mori“, mięso jedzą tylko dwa razy na rok. Żyją prawie jak pustelnicy. Każdy ma kawałek ogrodu i w środku budkę. Ogród ten zasadza sam jarzynami i pielęgnuje je. Stanowią one prawie wyłącznie jego pożywienie.

Daleko było już z południa, gdy powrócili do Krakowa. Po podwieczorku postanowili zwiedzić planty.

A było co zwiedzać. Przedstawiają one ogród starannie utrzymany, który w kształcie pierścienia opasuje naokoło stare miasto Kraków. Na zewnątrz od plant biegną w promieniach ulice nowe, później powstałe.

Na plantach są liczne pomniki, jak Jadwigi i Jagielły, Artura Grottgera i innych.

Adaś podziwiał z bliska, widzianą jeszcze rano z tramwaju bramę Floryańską. Są to grube mury starodawne, a w nich brama wjazdowa do miasta. W bramie jest obraz Matki Boskiej, przed którym dawni królowie modlili się, wyruszając na wojnę. Następnie zwiedzili jeszcze piękny, nowy teatr, przypierający do plant.

Powracając na dworzec, Adaś był dość znużonym na umyśle, bo ogromnie wiele tego dnia widział i to mu się w pamięci mieszało. Dopiero dobra chwila odpoczynku przywróciła mu równowagę.

I wtedy to dziwne wzbudziły się w nim uczucia. Był dumny, bo czuł się częścią narodu, co tak niezmiernie świetną przeszłość ma za sobą. Każda pięćdziesiąta ziemi w stolicy Polski stała mu się drogą relikwią. Ileż to sławnych zdarzeń w tym Krakowie zapisały nasze dzieje! Już dzielny Krakus zwalczył smoka, jak niesie wieść, a uczeni twierdzą, że słowo „smok“ oznacza wroga. Dalej uroczą Wanda rzuciła się do Wisły, by śmierć ponieść raczej, niż wyjść za Niemca. Tu następnie poraz pierwszy zaświtała narodowi jutrzienka wiary św. katolickiej, a Wisła, to polski Jordan! Dostarczyła ona narodowi wody do chrztu, a zarazem stała się grobem dla bałwanów pogańskich.

I myślał Adaś dalej, jak to o Kraków walczył Władysław Łokietek, jak to Kazimierz Wielki to miasto zagospodarowywał, jak ukochała je Jadwiga królowa, jak dalej ostatni władca krzyżacki oddał publicznie hołd poddaństwa Zygmunтови Staremu, jak przyjmowano tu Sobieskiego z pod Wiednia, jak wreszcie bohater narodowy Kościuszko zaprzysięgał na rynku ludowi wolność!

Tego wszystkiego świadkiem był... ten oto Kraków!...



II. TATRY.

Dalsza podróż koleją do Tatr przypadła na noc. Przed zapadnięciem zmroku widział Adaś z okien wagonu Kalwaryę Zebrzydowską, którą zwiedzają tysiące pielgrzymów kilka razy do roku. Na okolicznych wzgórzach pełno kaplic, czyli t. zw. stacyi. Ściany ich błyszczały różowo od słońca, co kryło się właśnie za góry, okryte smerekowymi lasami. Ponieważ nazajutrz przypadało święto M. B. Anielskiej, kompanie pielgrzymów maszerowały ku dolinie na nocleg do wsi, kończąc tak zwane dróżki, czyli zwiedzanie kaplic.

— Szkoda jednej rzeczy — rzekł ojciec do Adasia, gdy pociąg opuścił wzgórze Kalwaryi — a mianowicie, że nie mogliśmy podziwiać widoku w pobliżu ruin zamku Lanckorońskiego. Ruiny te znajdują się na wyniosłej górze wśród lasu. Byłem tam. Olbrzymie kupy gruzów i kamieni, oraz reszta baszt i murów sterczą jako zabytek dawnej świetności, ruchu i życia w tem uroczem ustroniu.

O parę stacyi dalej, w Suchej znajduje się, ale nie na górze, lecz zaraz przy kolei, starożytny zamek hr. Branickich, zbudowany z początkiem XVI. wieku, posiadający cenną bibliotekę. Szkoda tylko, że niedawno uległ on w części pożarowi.

Przy świetle księżyca Adaś ujrzał zamek ten, ale to go nie zadowoliło. Gdyby tak do niego wejść, oglą-

dać spokojnie każdy szczegół, to co innego, ale tak, w parę sekund — nie wiele pożytku.

Adasia zresztą coś innego zajmowało. Myślał on i powtarzał sobie w duszy to, co wiedział o Tatrach z czytania. A więc: Tatry leżą w części kraju t. zw. Galicyi, przez Austryę zabranym, a mianowicie leżą one na pograniczu węgierskiem, ciągną się od zachodu na wschód pasem długim 7, a szerokiem około czterech mil. Co za wielki obszar! A wszystko cudnie piękne góry, doliny, turnie, przełęcze, hale, wodospady i Bóg wie jakie dziwy, które zresztą nieraz podziwiał na kartkach widokowych.

— Adaś — rzekł ojciec, trącając go łokciem nieznacznie — patrz, wsiedli górale!

Adaś spojrział na przybyszów z wielką ciekawością. Było ich pięciu. Powracali z ćwiczeń wojskowych.

Ubiór ich był bardzo piękny: Na ramionach mieli zarzucone tak zwane „cuhy“ z grubego sukna, na piersiach „serdak“ tj. kozuch, jakby kamizelka; spodnie mieli z białego sukna, obcisłe, z wyszywaniami u przodu, na nogach kerpce, t. j. specjalne obuwie do chodzenia po górach. Kapelusze mieli czarne z małemi kryszami w dół spuszczonemi, z sznurkami paciorków i długimi piórami z głuszca.

Adaś przysłuchiwał się ich rozmowie, lecz nie wiele z niej rozumiał. Górale mają bowiem swoją odrębną gwiarę, którą bardzo cenią. Aby ją dobrze zrozumieć, trzeba długi czas w nią się wsluchiwać i nauczyć się wielu wyrazów, których w polskim języku książkowym niema.

— Z daleka jesteście? — zapytał młodych górali uprzejmie ojciec Adasia.

— Na... hań od Zakopanego z pod hal — odpowiedział jeden.

— Gdzieście byli?

— Kanyz-by jak nie przy wojsku? Noświczowalek sie, co jaze hej... Zgroźnioki jescé końdecek, béliby duse z cłeka wyścigoli prec. Dwa tyżnie byłek. Dutki pošy haj, O, raty, raty! A dóma kielo tćło do roboty. Do siela nik jescé nie usiekł ani końdecka owśa. Je, żywizna hań w halok moze skapoła; a kany jadam?...

— Do Zakopanego — odpowiedział ojciec Adasia.

— Barz piknie, moiściewy, kaz beecie mieskoć? Jobek ta za przywodnika rado bćł, bo syćkie pćrcie jo wim i kie niepeć, w te se mnąm barz przezpiecznie, haj.

Byłby dalej chćtnie narzucał się za przewodnika, ale pociąg ruszył i turkot uniemożliwiał rozmowę.

— O, prawda, że mowa górali dość trudna — rzekł Adaś.

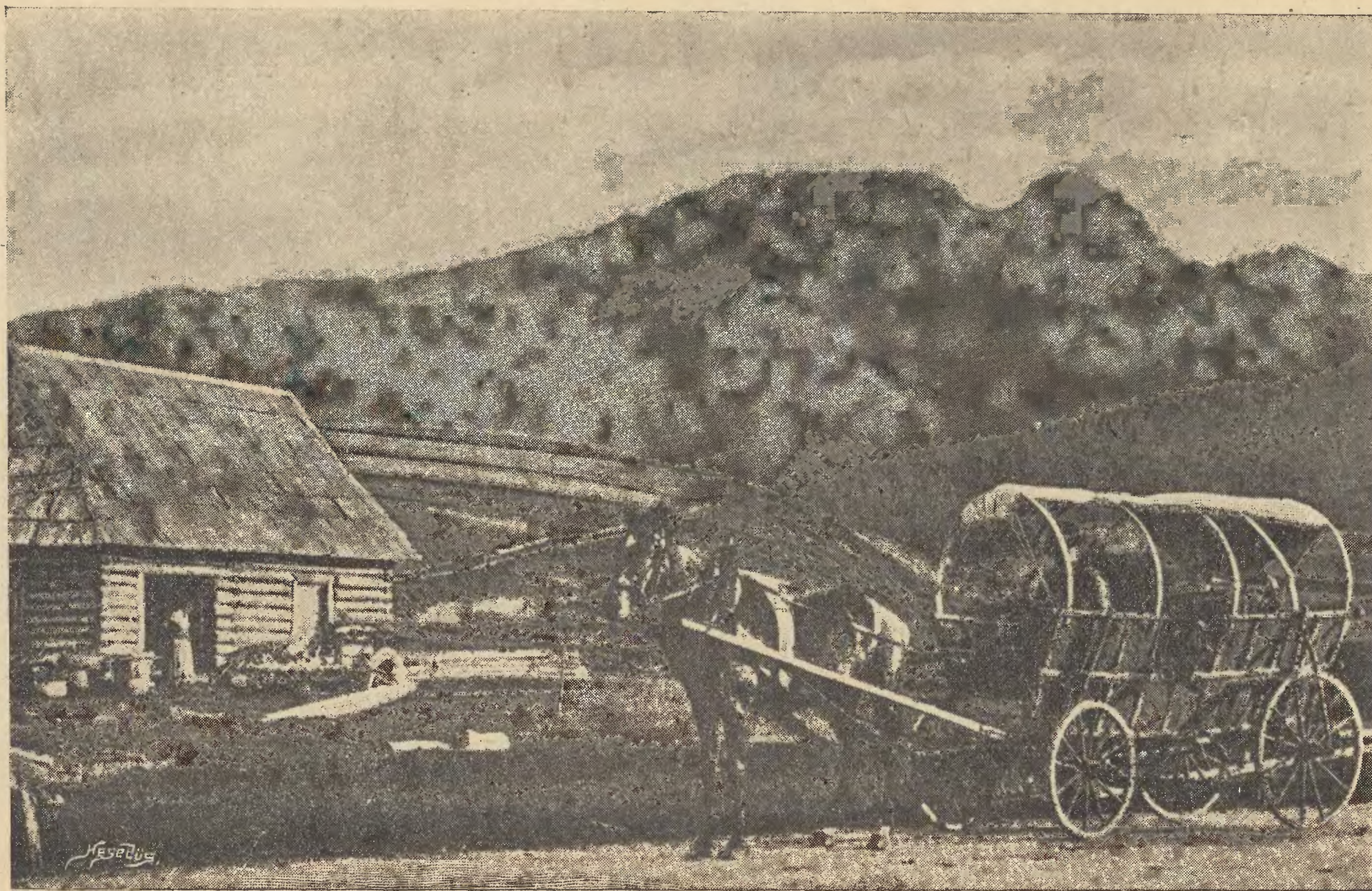
— Nauczysz się łatwo — odrzekł ojciec — ot wyjaśnię ci zaraz parę wyrazów: kany — znaczy gdzie, końdek — trochę, kielo tćło — dosyć, żywizna — bydło, owce, nik — nikt, skapać — zginać, pćrc — ścieżka górska, niepeć — niebezpieczeństwo i t. d.

— Ułożę sobie słownik — powiedział Adaś.

— Nauczysz się w lot bez tego.

Zajechali do Chabówki. Tu trzeba było czekać długo i potem przesiadać się do innego pociągu. Mogli wprawdzie jechać najbliższym pociągiem, ale ojciec wołał, jechać nad ranem, aby podziwiać okolicę z okien wagonu:

Jazda z Chabówki do Zakopanego trwa trzy godziny. Gdy dojechali połowy drogi — ujrzeli w świetle wschodzącego słońca cudnie mieniące się Tatry. Adaś zapomniał zupełnie o zmęczeniu z powodu nieprzespanej nocy, owładnęła nim dziwna radość, bo mu się zdawało, że wjeżdża do jakiejś uroczej, zakłętej krainy snów i baśni.



Widok na Giewont.

Stacya kolejowa w Zakopanem, na której wysiedli, znajduje się prawie w środku wsi. Tuż naokoło wznoszą się wspaniałe dworki poprzegradzane długimi ulicami, bądź też parkami smrekowymi. Od południa sterczą ku niebu majestatyczne turnie oblane złotawym blaskiem rannego słońca. Ponad temi turniami króluje Giewont, najwyższy szczyt w pobliżu Zakopanego. Adaś nie ruszał się z miejsca, tak go oczarował ten widok. Ojciec tymczasem najał furkę góralską. Był to wózek jednokonny, nakryty z góry płachtą na kabłakach. Powoził młody góral, który się Adasiowi bardzo podobał.

Zajechali do największego hotelu pod nazwą „Morskie Oko”. Jest to w samym środku wsi przy ul. Krupówki, duży, murowany gmach, posiadający wszelkie wygody, jak wodociągi, oświetlenie acetylenowe, wyborną restaurację i cukiernię, a oprócz tego obszerną salę balową, w której odbywają się przedstawienia i koncerty. Brakło jednak w tym hotelu miejsca, więc nasi podróżni udali się do jednego z dworków prywatnych. Był to domek drewniany, zbudowany w stylu tak zwanym zakopiańskim. Na wysokiem podmurowaniu wznosił się zrąb domku, ocieniony naokoło obszernem poddaszem, od południa zaś poddasze to stanowiła oszklona weranda. Nad zrębem wznosił się fantastycznie sklecony dach z mnóstwem małych daszków, a w każdym okienko. W połowie budynku znajdowało się u dachu pięterko o dwóch pokojach i tu właśnie nasi znajomi zamieszkali. Z ganku, pod daleko wysuniętym daszkiem, podziwiał Adaś rozległość Zakopanego. Jest to, jakby trójkąt olbrzymi przecięty przez środek szeroką ulicą, a przy niej mnóstwo sklepów i bazarów, w których sprzedaje się różne rzeczy wyrobu góralskiego, jak i wogóle wyrobu krajowego. W dali ku zachodowi widniał wspaniały

gmach wśród drzew smerekowych — to sanatorium, czyli lecznica dla piersiowo chorych.

Adaś byłby do południa patrzył na tę wieś, która w istocie jest miastem, gdyby go był ojciec nie wciągnął do pokoju na śniadanie.

Po śniadaniu udali się do kościoła, zbudowanego z kamienia. Na wysokiej wieży znajduje się zegar. Była właśnie godzina ósma. Weszli do środka. Adaś nie mógł się napatrzeć na malowanie kościelne, wykonane przez górali podług wzorów zakopiańskich.

— Cudne jest Zakopane — zagadnął Adaś, gdy wyszli z kościoła.

— Pewnie, że cudne... nazywają je letnią stolicą Polski. Tu bowiem ściągają się z całej Polski najznakomitsi ludzie, jak uczeni, literaci, malarze, artyści i zresztą wogóle wszyscy, których na podróż stać. Dawniej była to cicha odosobniona wieś górską. Dopiero od r. 1886 wieś ta stała się stacją klimatyczną, t. j. miejscem, gdzie zjeżdżają ludzie dla wypoczynku na kilka letnich tygodni. Obecnie miejscowej ludności jest około pięciu tysięcy, a liczba samych gości dochodzi do ośmiu tysięcy. Przestrzeń Zakopanego wynosi około 40 km. kwadratowych.

Przechodzili ulicą Krupówki obok sklepów i bazarów. Tu ojciec kupił Adasiowi t. zw. ciupagę, czyli kutą laskę do pomagania nią sobie w czasie wycieczek. Szli dalej piękną ulicą Jagiellońską i Chałubińskiego. Ojciec opowiadał Adasiowi o szkołach w Zakopanem, których jest kilka, jak: szkoła ludowa, szkoła przemysłu drzewnego, szkoła koronkarska, prywatna szkoła realna, pensjonat leczniczy prywatny dla dzieci i t. d. Opowiadał dalej o urzędach różnych, z których zaciekała Adasia t. zw. komisya klimatyczna; czuwa ona nad dobrem

gości, stara się o czystość ulic, o oświetlenie tychże, czuwa nad dobrocią artykułów żywności bądź na targach, bądź po restauracjach, czuwa dalej nad tem, aby właściciele dworów i hoteli nie podnosili czynszów, również, aby furmani nie pobierali więcej, niż wskazuje taksa, zawiaduje szpitalem, a w razie jakiej choroby zakaźnej stara się poczynić wszystko, co do stłumienia epidemii jest potrzebnem itd. Za to pobiera ona opłatę klimatyczną po 2 kor. od osoby na tydzień.

Oprócz tego urzędu istnieje w Zakopanem t. zw. Towarzystwo Tatrzańskie, które roztacza opiekę nad Tatrami, bada je, stara się o dobre ścieżki i drogi i umieszcza na nich drogowskazy, jak również przy ważniejszych punktach, urządza schroniska (n. p. przy Morskiem Oku). Towarzystwo to czuwa, aby nie wyępiono rzadkich już zwierząt i roślin tatrzańskich i wreszcie utrzymuje Muzeum tatrzańskie, do którego właśnie nasi podróżni doszli. Otwarte ono jest tylko popołudniu.

— Zwiedzimy je — mówił ojciec. — Są tam ciekawe okazy roślin, zwierząt i minerałów tatrzańskich, a tymczasem patrz, pomnik Chałubińskiego. Mąż ten, nieboszczyk już, wielce zasłużył się około rozwoju Zakopanego i dla tego postawiono mu ten piękny pomnik.

— A kogo przedstawia ta figura na dole, ze skrzypcami w rękach? — zapytał Adaś. — To przecie prosty góral...

— A góral, prosty, lecz dość sławny. Nazywał się on Sabała i umiał pięknie opowiadać bajki. Jedną taką podał do druku nasz wielki powieściopisarz Henryk Sienkiewicz p. t. „Sabałowa bajka“.

— A czytałem przecie. To o tej śmierci, którą góral wwiercił w wierzbę — przerwał Adaś.



Doszli na rozstaje między Bystre, Jaszczurówkę i Kuźnice. Tu ojciec wynajął furkę do Morskiego Oka.

Jechali gładkim murowanym gościńcem, który prowadzi aż do samego Morskiego Oka. Od południowej strony, jadąc na wschód mieli śliczny las świerkowy, po lewej zaś piękne dworki w tak zwanej Jaszczurówce. Góral spiał u góry płachtę, aby nie zaślaniała widoków, które szybko się zmieniały. Najpiękniejszy widok rozciągał się na polanie Porońca, 15 km. od Zakopanego. Przystanęli tu, a góral woźnica, człek znający Tatry, jak własną kieszeń, objaśniał:

— Hań, od lewej ręki ten piękny szczyt — to Hawrań, na prawo trochę, Murań, dalej Łomnica, Gerlach, Wysokie rysy, Mięguszowieckie turnie, hań jest Morskie Oko. Tuż przed nami od południa Wołoszyn, Żółta turnia, a od Zachodu Czerwony wierch i Giewont...

Adaś nie mógł sobie żadną miarą spamiętać wszystkich nazw, które góral wyliczał. Patrzył biedak i patrzył, a w głowie mu się mąciło okrutnie.

Boż to i ojciec nawet, poważnie się zamyślił. Takiego widoku, jak stąd, niema w całym kraju. Góry przybrały barwę blado-siną, ponad niemi gorzało słońce wśród czystego obłoku. Adaś odwrócił się, bo mu w oczach zaczęły jakieś kropki migotać. W tej stronie, od zachodu widniała rozległa dolina, na której rozsiadło się Zakopane, a w dali za nią w mgle szarawej widać były Beskidy zachodnie, z których wspinała się ku obłokom zasępiona Babia góra.

Ruszyli dalej. Droga wiła się jak wąż wśród smrekowych lasów, wreszcie wjechali w długą dolinę, ściśniętą turniami tak, że tylko wąski pasek nieba można było widzieć. Adasiowi zdawało się, że te olbrzymie runy i zgniotą ich lada chwila.



Morskie Oko.

Ujechawszy 10 km. dalej, usłyszeli straszny huk. Wodogrzmot Mickiewicza — objaśnił woźnica. — Będziemy popasać godzinę.

Za parę minut stanęli przed skromną gospodą i po posiłku poszli zwiedzić słynne te wodospady. Jest ich trzy: wyżni, pośredni i niżni. Pośredni widoczny z żelaznego mostu na gościńcu. Olbrzymia ilość wody spada nagle z wysokości kilku metrów między roztrzaskane skały i rozbija się tu na miliardy kropelek. Robi to wrażenie roztopionego srebra. Huk, grzmot okropny, aż zda się ściany olbrzymich skał drzą w posadach.

Zwiedziwszy następnie wodospad wyżni i niżni, co zabrało całą godzinę czasu, wybrali się dalej i za godzinę wjechali na obszerną, pokrytą głazami i porośniętą kosodrzewiem a niedostępną w głębi dolinę. Na końcu tej doliny, zamkniętej grzbietem Żabiego, od zachodu Miedzianego i Mnichem (szczyt ten przedstawia się z dala, jak człowiek w kapturze, a że mnisi noszą kaptury, więc stąd zapewne nazwa), od południa zaś Mięguszowieckimi turniami znajduje się Morskie Oko.

Gdy stanęli nad brzegiem — Adaś jakby osłupiał. Przed nim rozległa tafla wody, mieniąca się w słońcu najdziwniejszymi kolorami. Naokoło tej tafli rozległej, wznoszą się prawie stromo zbocza turni, upstrzone gęsto płatami śniegu, który tu przez całe lato nie ginie. Woda zimna jak lód, przezroczysta, jak kryształ, wszystkie, zda się kamienie widać na dnie.

Nad brzegiem było liczne grono turystów. Wszyscy, jak oniemieli z podziwu.

— Łódź wolna — nawoływał przewoźnik, kołysząc się w niedużej łodzi u brzegu.

W okamgnieniu turyści zapełnili łódź, t. j. wsiadło dwanaście osób, więcej przewoźnik nie bierze. Adaś jednak nie należał do tych, co zostali na brzegu.

Płyną po mieniącej się fali, wiosła pluskają. Wszyscy zachwyceni. Naokół nich kryształ wodny, a wyżej ściany granitowe.

— Ciekawą jestem, czy tu głęboko? — ozwała się jakaś pani.

— Pięćdziesiąt metrów — odpowiedział krótko przewoźnik.

Łódź posuwała się bardzo szybko, dzięki czemu turyści wylądowali na przeciwnym brzegu za dziesięć minut. Adaś się oglądał i spostrzegł, że ludzie, którzy pozostali koło schroniska wyglądają mali, jak mrówki.

— Czy zmierzone jest Morskie Oko? — zapytał Adaś ojca.

— Tak jest. Powierzchnia wynosi 33 hektarów.

Z tej strony jezioro znowu innymi grało kolorami i inaczej też przedstawiał się widok gór ku zachodowi.

Jakiś pan, który razem na łodzi tu przybył mówił do swoich, a Adaś ciekawie słuchał:

— Wiecie państwo, Węgrzy mieli się o co przed dwoma laty procesować. Takiego jeziora niema w całej Polsce! Tylko, że nie wskórali nic. Dziedzic olbrzymich przestrzeni po węgierskiej stronie Tatr, hr. Hohenlohe wyteżył wszystkie siły, by Polakom skarb ten, tę perłę odebrać, ale sławny nasz uczony i profesor wszechnicy, Oswald Balcer, tak umiał bronić naszej własności, że sąd uczonych przyznał nam słuszność. Morskie Oko nasze na wieczność.

Adaś byłby słuchał dalej, ale ojciec pociągnął go za rękę, każąc iść wąską ścieżką przed siebie dość stromo pod górę. Ta uciążliwa droga trwała prawie godzinę, aż wreszcie Adaś ujrzał drugie jezioro o czarnem tle, ale mniejsze, niż Morskie Oko.

— To Czarny Staw nad Morskiem — rzekł ojciec do zdziwionego tą niespodzianką Adasia — jest on o trzecią część mniejszy od Morskiego, ale za to głębszy, bo ma aż 77 metrów.

Państwo, którzy razem z Adasiem łodzią płynęli, przybyli również nad brzeg Czarnego Stawu; z nimi był jeden góral.

— Czy ten góral również zwiedza Tatry — zapytał Adaś. Ojciec się uśmiechnął i odrzekł:

— To, mój synku, jest przewodnik. Trudni się on całe lato oprowadzaniem gości po Tatrach, za co mu oni płacą i dają wikt. My również na dalsze wycieczki będziemy brali przewodnika.

— Stąd, proszę państwa — mówił przewodnik — w 4½ godziny wyjdziemy na szczyt Rysów, skąd widać hań wszystkie wyższe szczyty i jaze 13 stawów od strony Węgier. Tą percią hań na prawo wyjdzie się na przełęcz Mięguszwiecką, a stamtąd, na przecudną dolinę tej samej nazwy do jeziora Szczyrbskiego i Popradzkiego, ale to już daleko i tylko bardzo śmiali i odważni mogą się w te dwie drogi puścić.

Adaś byłby pierwszy zapisał się do tych „śmiałych“, ale ojciec powiedział, że miejsca te są za granicą węgierską i że trzeba wprzód zwiedzić Tatry nasze.

Po uciążliwej podróży z powrotem z nad Czarnego Stawu i po wypoczynku nastąpiła wycieczka piesza do pięknej dolinki za Mniczem, położonej wysoko nad Morskiem Okiem, a stąd na Miedziane.

Wieczór już się zbliżał, więc musieli turyści prędko wracać. Chodzenie bowiem wśród gór o zmierzchu i w nocy jest ogromnie niebezpieczne; jeden nierozważny krok — a można runąć w przepaść i zginąć na miejscu.

Nocować trzeba było w schronisku Towarzystwa Tatrzeńskiego, gdzie jest 22 łóżek w 4 pokojach. Opłaty dość drogie, ale nasi znajomi musieli zostać, bo byli już bardzo pomęczeni. Tak się przynajmniej zdawało, gdy wracali z Miedzianego, kiedy każdy kamień trzeba było próbować naprzód ciupagą, czy się nie usunie z pod nóg. Jednakże po wieczery w schronisku nikt jakoś nie miał ochoty iść spać. Zwłaszcza Adaś uprosił ojca, aby z nim poszedł nad jezioro.

Noc była jasna, jak świt. Srebrny księżyc rzucał z ponad turni strugi światła, co się na falach łamały w trudne do opisanja zjawiska. Naokół cisza. Wiatr ani ruszy kosodrzewiną, jeno potok Rybi w głębi doliny szemrze po głazach dziwne jakieś modły, a z hal dalekich dochodzą echa przeciągłych nawoływań juhasów. Cicha, srebrzysta noc, noc snów na jawie, noc dziwów ukoronowała gwiazdami zawrotne wierchy turni. Jakże tu dziwnie, jaki lęk niewytłumaczony ogarnia duszę!

Opowiadają górale, że te szczyty — olbrzymy poruszają się kiedyś, że... nawet czas ten w niedalekiej majaczy przyszłości. Przyjdzie jakiś rycerz sławny, pod chłopską zrodzony strzechą, mieczem płomiennym uderzy o granity i... zbudzą się olbrzymy, wynijdą na świat niecić — światłość!

Wprawdzie mało ich tu; najwięcej legionów w kościeliskich grotach drzemie, ale kto wie, czy groty owe nie sięgają aż tutaj. Chłopczynie przymrużył oczy sen — dziwo zabłysło wokoło tafli wodnej, wyścielonej powłoką gwiazd. Otworzyły się milczące turnie i wyszły z nich hufce skrzydlatych rycerzy. Zadrżała ziemia w posadach, jeziora tafla zmarszczyła się falami i zaszumiała pianą i znów cisza. Rycerze stąpają po opadających falach ruszają snąć na — bój!...

*

*

*



Wodogrzmot Mickiewicza.

Śliczny nazajutrz był ranek. Nasi znajomi wyruszyli równo ze świtem w drogę powrotną. Żal do prawdy oddalić się od tego miejsca, gdzie tyle wrażeń dusza odbiera. Adaś śnił tu o dziwach i cudach — widział je nawet własnymi oczyma. Teraz oddalać się stąd żal... żal...

U wodogrzmotu Mickiewicza zatrzymali się. Tęgi barczysty góral wstał z ławki pod szałasem i, poprawiając na piersiach mosiężną oznakę przewodnika — zagadnął:

— Ku Pięci stawom kcąm? pode za trzy reńskie na cały dzień, hai. Niek idąm. Siklawę użrzam, nacudujam sie, bo padom wom, co to okrutne dziwo jest, no niek se ozmyślujam, bo cos nie stoi, a wrócić trza pod wieczierz do Zakopanego.

Adaś aż rączki złożył, prosi tatusia, by przyjął usługę górala.

— A no, pójdziemy — zadecydował ojciec.

Szli w górę wzdłuż potoku, który tworzy wodogrzmot Mickiewicza. Nad głowami szumiały im olbrzymie smereki, a wśród głązów i progów wtórował tym szumom potok. Woda w nim czysta, jak kryształ, który jednak co krok rozpryskuje się o głązy w miliardy kropelek i robi wrażenie białego płynu.

— Drzewiej, kie-m jesce juhasił w halok, nie-dźwiedzi było tu moc — mówił góral przewodnik — i kozice były, hai...

— Kozice? — zapytał ciekawie Adaś.

— Hai... Były to takie kozy dzikie, co po wirhok skakały kie wiewiórki zgrabne, ale dziś juze ani śladu po nik. I świstoków niema tez. Wsyćki ludzie wymordowali i nie ostało ani jednego.

— To bardzo smutne — ózwał się ojciec — W Tatrach jakby życie zamarło. Nigdzie śladu jelenia lub kozicy, nigdzie nawet pióra uronionego z ptasiego skrzydła nie zaświadczy. Nie ozwie się tu szczebiot śpiewaków leśnych.

— Orłów mi jeno zol — odrzekł góral — Hej, było ik drzewiej — nieroz ta i po jagnie do kerdeli zagościł, prawda to, ale dusa sie radowała, kie te ptaki sybowały ponad wirchy.

Na rozmowie czas leciał. Słońce weszło ponad turnie i złociło swym blaskiem dolinę Roztoki i dolinę Pięciu Stawów Polskich. Podróżni stanęli koło Wielkiej Siklawy.

Jest to największy w Tatrach wodospad. Woda potoku Roztoki, który wypływa z Wielkiego Stawu, spada tu z wysokości stu metrów. Adaś zapomniał o piękności Morskiego Oka. Zachwyt owładnął nim całym. Zdawało mu się, że znalazł się w olbrzymim młynie, w którym z wysokości zawrotnej spada struga roztopionego białego srebra w przepaść. Inny tu świat... Tam, u Morskiego Oka cisza i spokój, tu życie jakieś wre — tu dzieje się coś, tu powietrze drga, jak po wystrzale z armaty.

Wydrapali się nad Wielki staw. Jest on większym, niż Morskie Oko i głębszy niż Czarny staw nad Morskiem. Stawy tatrzańskie w tej części Tatr, mają prawie jednaki charakter. Niektóre z nich noszą nazwy Czarnych, od tła, na którym się odbijają. Otóż i tu, w łańcuchu Pięciu Stawów Polskich jest jeden (o powierzchni 14 ha), który nazywają Czarnym. Inne stawy są pomniejszych.

Skutkiem namowy przewodnika znajomi nas obral pieszą drogę do Zakopanego przez Świnnicę. Droga to

bardzo niebezpieczna i gdyby nie zręczność i dzielność przewodnika — Bóg wie, w jakim kłopotcie byłby Adaś i jego ojciec. Po urwistych i stromych ścieżynach wspinali się jak koty — a przewodnik wydawał rozkazy:

— Turni się niek trzymajam!... Niek w dół nie patrzam!...

Popatrzeć w dół — to tyle, co stracić równowagę i stoczyć się w przepaść.

Były chwile, że Adaś drżał, jak oschły liść dębiny na zimowym wietrze. Często przewodnik brał go „na barana“ i niósł pod górę. Gdzieniegdzie wyrębywał schody ciupagą, aby się na nich na chwilę oprzeć. W górę, to jeszcze pół biedy, ale z góry na dół iść — rzecz bardzo trudna. Ale przewodnik radził sobie jak mógł.

Trudny był pochód na Świnnicę. Po krętej stromej ścieżce idzie się w ten sposób, że osoba od osoby musi być w znacznem oddaleniu. Przewodnik pilnie przestrzegał, aby nie stawać w pionowej linii, bo kamień, strącony przez tego, który jest najwyżej — mógłby obalić tych, co się niżej znajdują.

Trud jednak opłacił się sowicie. Widok ze Świnnicy jest tak wspaniałym, że żadną miarą opisać go nie podobna. Mimo to, Adaś układał sobie w myśli, jak on to będzie opisywał swoim kolegom te niezwykle wrażenia.

Nad głową jasne, lazurowe niebo, a na niem ognista kula słońca rzuca potop światła na olbrzymy-turnie, na doliny uroczne i hale, na dal odległą na północy, kędy widnieją jak małe kropeczki sioła i płaty łąków zbóż i wieńce borów w Gorcach i Pieninach.

A od południa, wschodu i zachodu — szczyty sinawe. — Czy też spamięta sobie, tak, jak je wskazuje góral-przewodnik... Murań, Hawrań, Kozi Wierch, Ko-

ścielec, Krywań, Liliowe, Czerwony Wierch, Giewont... Nie, nie spamięta. Zresztą po co? Kto ciekaw, niech się tu drapie! Niema nagrody bez trudu! Dwa tysiące trzysta sześć metrów nad poziomem morza — to znaczna już wysokość. Inny tu zda się wiać duch. Człowiek czuje się ptakiem, leciałby, szybował w dal, na wioski i niwy i miasta gwarne z wyżyn orlich spoglądał!

— Pedajam, co hnet kolejam ludzie bedam na Świnnicę jeździć — ozwał się ze smutkiem w głosie góral. — Mnie się ta widzi, co to wierutne baje. Kizby dyabeł na taki wirh pociąg wyciągnął?...

— Możliwe — odparł ojciec Adasia. — W Alpach istnieją koleje tak zwane zębate. Zapewne i tu będzie taka kolej.

— A niek ik ta!... Kie se pomyśle, to jaze mi sie luto staje. To nie pięknie, coby kolej gwizdała po halok i turniok. Turnie tego nie zniosam. One lubią spokoj... A padam wom, co Tatry juz nie te, co drzewiej, juz one posmutniały, ze tyła ludzi sie tu garnie. One tego nie lubią. A jak taka kolej pocnie wywozić stąd granity, tak — bywaj zdrów, ostanam dziury jeno... Eeet! Podźmy juz.

Zchodzili, milcząc. Może im było żal tej wyżyny obłocznej, na której dawniej jeno orły siadały, a dziś — pociąg tam niebawem stanie!

— Ta dolina hań — mówił góral zwie sie Gąsienicowam. Wiele tam stawków jest, ale juz nie tak piękne, jak Pięć Polskich...

Podczas gdy przewodnik wskazywał i wyliczał stawy gąsienicowe — Adaś ujrzał na urwistym brzegu białe, jakby z aksamitu misternie wykrojone kwiatuszki — szarotki. Zerwał jedną, drugą, ma ich niebawem cały pęk.

Nagle usuwa mu się głaz z pod nóg... W głowie poczuł zawrot... czuje, że się stacza, że leci w przepaść... Za chwilę zatrzymuje się i rozgląda... w dole strach spojrzeć!...

— Adaś! — krzyknął rozpaczliwie ojciec.

— Turni się trzymaj — wrzasnął dziko góral i jak oszalały rzucił się na ratunek.

— Przyciśnij się do turni, mocno, mocno...

Adaś przytomność traci. Jedno poruszenie się, — a śmierć! Zaparł oddech, usta tylko szepcą:

— Matko Najświętsza, ratuj mnie, ratuj!

Góral odwała bryły granitu ciupagą, toruje sobie drogę już, już uchwyci go za rękę, nie puści — wydrze śmierci.

Okropna to chwila, która stanowi: żyć, lub zginąć.

Góral obmacał dobrze głazy w pobliżu, wyrąbał dziurę, odwalając głaz, usadowił się, zaparł i zawołał:

— Tero daj rękę!

I nie puścił już chłopca z rąk. Zębami uchwycił jego ubranie, a jedną ręką robił ścieżkę. Pot spływał mu z każdego włosa. Pierś falowała, jak miech kowalski. Rąbał głazy, czołgał się jak wąż, aż nareszcie oddał Adasia ojcu, który stał na skale ni żywy, ni umarły.

— Dziękuję wam, zacny człowieku — rzekł drżącym głosem, ojciec — dziękuję serdecznie. Uratowaliście życie...

— Zrobiłem swoją powinność — odparł góral, z taką skromnością, jakby mu dziękowano np. za podanie szklanki wody. — No, już to tero będę bacył na hłopaka. Nie puscem. A trza nam jescze przez przełęcz do Carnego stawu zchodzić, niepeć bee znów, hai...

I miał słuszość. Z przyłączy pod Kościelcem wije się prawie pionowo, wężykowata ścieżka po stro-

mej trawiastej zboczy kilkaset metrów w dół. Powierzchnię prostopadłą do tej ścieżki stanowi Czarny staw pod Kościelcem, jeden z najpiękniejszych w Tatrach. Przewodnik sunął się na grzbiecie w dół, opierając się silnie nogami o kamienie. Równocześnie miał za zadanie zabezpieczyć siebie i dwie osoby. Zadanie nie lada. A jednak podolał mu, choć go to wiele pracy kosztowało, bo często znosił naprzód Adasia, a potem po ojca wracał i podstawiał mu z dołu ciupagę do oparcia się.

Widok Czarnego stawu jest prawie taki sam, jak Morskiego Oka. Kolory grają w słońcu tak dziwnie, wokoło tyle potęgi, majestatu i piękna, że niepodobna odtworzyć sobie w duszy tych obrazów. Adaś zapomniał o przebytem niebezpieczeństwie i o śmierci, która tam w wyżynach wystawiała do niego swoje kły. Był wesół, klaskał w dłonie jak dziecko i spożywał posiłek przy schronisku z takim apetytem, jak nigdy jeszcze w życiu.

Po zasłużonym odpoczynku udali się turyści brzegiem Stawu ku Zawratowi do t. zw. Zmarłego stawku.

I znów nowa serya widoków. Idzie się popod olbrzymie turnie i staw, a potem przez potok po wielkich głazach, piargach i śniegu, który leży przez całe lato. Kotlina, w której leży Zmarły stawek jest zupełnie dziką i straszną. Zdaje się, że się wchodzi w jakieś podziemne otchłanie, z których potem wydobyć się będzie trudno.

*

Niedaleko Czarnego Stawu rozpościera się Hala Gąsienicowa, na której wypasają się liczne stada owiec i krów. Znajdują się tu szalasy. Są to małe budynki drewniane, które służą za schronisko trzodzie i pasterzom w czasie słoty i w nocy.



Czarny staw Gąsienicowy.

Nasi znajomi zatrzymali się tu aż do wieczora, wśród juhasów.

Ciekawych rzeczy dowiedział tu Adaś.

Uwagę jego zwróciła szczególna postać „bacy“, to jest najstarszego pasterza, który ma pod swą opieką licznych juhasów. Był to mężczyzna w wieku około 60 lat. Twarz miał chudą, przeciąglą, ogorzałą i starannie wygoloną, włosy długie, spadające na ramiona. Z oczu tryskał ogień, jak u młodzieńca. Usta uśmiechnięte przyjaźnie. Cała postać zgarbiona już trochę wiekiem, ale dość jeszcze sprężysta.

Juhasi, a było ich kilkanastu, otaczali go niezwykłą czcią. Co on rozkaże, to święte. Nawet z odległych hal są mu posłuszni, bo on z gminy całej nad nimi władzę ma. Ma on własny szałas — rezydencyę. Zaproszeni przez niego nasi znajomi podziwiali urządzenie mieszkania, które przedstawia się, jak klatka niedźwiedzia w menażeryi. Ściany ze zbitych belek, z dużemi szparami, powały niema. W dachu z jednej strony wielki otwór stanowi ujście dla dymu. W kącie barłóg wyścielony sianem, a na-środku ognisko. Kilka głazów kamiennych stanowi stołki naokoło tego ogniska, przy którym gotowało się coś w dużym garnku.

Baca opowiadał naszym znajomym, jak to on za dawnych czasów na niedźwiedzi się wyprawiał. Ta strzelba wisząca na kołku, zardzewiała, poklamrowana drutem i dratwami — pamięta te dawne czasy. Z jej łaski trzy niedźwiedzie padło.

— Ide se roz, a było juze pod zime, ku Zawratowi, ot, tak bez potrzeby wselejkiej, bo sconiło się ciekowi, idę, pogwizdujem se i pośpiewujem o zbójnikak, jaze tu słysem, kamienie walom sie z turni dołu... Kis bies, ozmyślujem se, i patrzem a to niedźwiedź,

kudłaty i straszny, co raty przeraty! Hej! pockoj, nie bees mi ty wojowoł. Juze przysed na jedno strzelanie — kcem strzelić — o raty, panewke desc zamoczył. A niedźwiedź idzie naprzeciwko mnie i mrucy cosi.

Tak ja strzelbine rzucił prec i s ciupagom sie biere. Oj, byłoz roboty. A on na mnie kamienie. Tak ja w dyrdy, po zbocu, a on co krok to sie przykopyrtnie. Juze mie mo, ale Paniezus dał, co to bestyjo niedźwiedź w sceline sie zatoczył i ani rus. No i, wicie, wtedy dobilek go.

I o zbójnikach opowiadał baca, a opowieść jego była tak stasza, że włosy dębem stawały na głowie. A było ich dawniej pełno w tych górach. Wyprawiali się daleko stąd do Galicyi i na Węgry i przynosili wielkie łupy. Zbójnikiem być, to wielka w on czas była sława, ale i niebezpieczeństwo nielada. Każdy zbójnik przygotowany był na to, że nie dziś to jutro, czeka go śmierć na gałęzi, bądź od herszta za jakiegokolwiek nieposłuszeństwo, bądź w razie, gdy go schwyci władza. Ale też i wesołe i wolne było ich życie!

— Jedli, pili, tańcowali — powiada baca — jaze hej. A znocie zbójnicki taniec? Pokaze wom. Hej, juhasy, potańcujemy se, watrę ozpalić!

Posłuszni juhasi nanieśli drzewa suchego narabali moc surowej kosodrzewiny i rozniecili wielki ogień.

Baca na skrzypkach lipowych przygrywał, a oni stukając o kamienie ciupagami, tańczyli wokół ognia, aż ziemia drżała i gwizdanie na palcach rozlegało się po hałach.

I Adaś, porwany zapałem, począł skakać, ale przekonał się, że za delikatne są jego nogi. Usiadł zmęczony i przypatrywał się tym hałasującym postaciom góralskim, oświetlonym blaskiem ognia i cieniem, które

po kosodzewinie migwały. Zdawało się, że to istotnie
zbóje, że go wraz z ojcem porwali i tu trzymać
ich będą, czekając wykupu.

Ale taniec się ukończył. Ojciec Adasia po piwo
dla „zbójników“ posłał. Oni zaś raczyli w zamian swych
gości „oscypkami“ to jest serem owczym i żętycą (ser-
watką), która ma własności lecznicze.

Długo w noc przysłuchiwali się nasi znajomi opo-
wieściom i śpiewkom górali a ojciec nawet niektóre
z nich spisywał.

Hory nasze hory,
To nase komory,
Zielone listECKI
Nasze podusecki,

Albo:

Zabili Janicka
W zielonej ubocy,
Ino sie od niego
Kapelusek tocy.

Zabili Janicka
Wielgiego zbójnika,
Takiego mi zucha
Nie użrZys juz nika.

W hrubym rąbanisku
Między wykrotami,
Stoi smutna matka
Zalewa sie łzami.

Zalewa sie łzami,
Za synem Janickiem,
Tęskni jak kozicka,
Za styrbnym wiersickiem.



Dolina Kościeliska.

Juhasi śpiewali, stary baca przygrywał, a echo szło po turniach i konało gdzieś w dali.

* * *

Jest w zachodnich Tatrach cicha dolina, otoczona stromemi ścianami turni, z których tu i ówdzie głazy ogromne sterczą i wzbudzają niepokój. Zda się bowiem, że ten lub ów głaz oderwie się i runie w dół, miażdżąc wszystko i tamując bieg przeźroczystego Dunajca, co szemrze odwiecznie starą pieśń — kołysankę rycerzom śpiącym w głębi otchłani.

Jest to dolina Kościeliska.

Adasiowi wydawało się jednak, że to nie dolina, lecz świątynia ogromna, której ściany i filary wyrzeźbiła ręka Stwórcy w dziwne kształty. Sklepienie stanowi niebo lazuruowe, rozpięte niby płachta od grzbietu do grzbietu.

Furtę do tej świątyni stanowi Brama Kraszewskiego.

W tej okolicy Tatr niema jezior, jak w Tatrach wschodnich. Tam bowiem góry zbudowane są z granitu, tu zaś z wapienia. Ponieważ wapien ulega działaniu wody — mamy w tej części Tatr mnóstwo jaskiń i grot podziemnych. Groty te dziwnie zainteresowały Adasia. Przewodnik zaprowadził naszych znajomych naprzód do okien zbójeckich. Są to jakoby paszcze czarne, z których chłód dotkliwy wieje. Turyści z przewodnikiem puścili się w głąb, trzymając świece w rękach. Dziwny lęk ogarnia człowieka w tych podziemiach. Z każdej szczeliny zda się wyglądać jakiś potwór, jakiś smok legendowy. Zda się, że po oślizłych ścianach stugłowe pełzają węże...

— To fraszka wobec Groty zimnej — mówił przewodnik — oglądniemy ją. Jest ona długa 122 metrów, a takie w niej zimno, że leży tam często lód.

I istotnie wędrówka podziemna była bardzo ciekawa. Świece gasły co chwila, trzeba je było zapalać ciągle, wskutek czego przewodnik potrzebował wszystkich zapalek. Bez światła iść dalej nikt odważyć się nie może, bo nie jest pewnym, czy nie natrafi na pieczarę jaką, lub zbiornik wody. Tedy w połowie drogi nasi turyści musieli zwrócić, kłapiąc zębami z zimna.

Najwięcej uwagi Adasia pochłonęła skała t. zw. Pisana. Z głębi u jej stóp wypływa silny potok, zimny jak lód. Na skale tej znajduje się niezmierna ilość napisów wyrytych przez zwiedzających to uroczne miejsce, a powyżej widnieje wykuty w skale przez artystę rzeźbiarza Bełtowskiego „Śpiący rycerz“.

Kto z czytelników będzie przy tej skale, niech nie zapomni poszukać napisu, który Adaś z wielkim mozołem na skale wyrył:

„Do Ciebie, Panie, dusza moja bieży

Z wołaniem: zbudź-że już „Śpiących Rycerzy!“

— Podziemy ik sukoc — ozwał się przewodnik, odczytując świeżo wyryty napis. — Hań w Grocie mylnej sam.

I poszli.

Dziwne jaskinie. Z początku korytarze wygodne i nie długie; ale w głębi znajdują się liczne rozgałęzienia. Przewodnik tym razem miał dość zapalek, które przedtem po drodze kupił w restauracyi. Główny korytarz ma 81 m długości, boczne są krótsze. Noszą one nazwy: Wielka izba (38 m.), Biała ulica (27 m.), ulica Pawlikowskiego (58 m.), Chóry i t. d. Rozumie się, że w tym labiryncie bardzo łatwo można zbłądzić i drogi z powrotem nie znaleźć. Ale znajomy nam już przewodnik, który Adasiowi życie uratował i który od tego czasu stale naszym znajomym za przewodnika służył — zna każdy zakręt, każde zagłębienie.

— Pewnego razu — powiada on — zgubił siar-
nicki. Ciemno okrutnie. Państwo nuze płakać, co już
śmierzyć, jo w śmih. Hożej jo tu hnet znajde ftórędy
droga. Macałek rękami, jaze jakąsi gadzine namacałek
i wicie, wysedłek na świat.

W wielkiej Izbie ojciec wydobył pudełko ze sztuc-
znym ogniem bengalskim. Rozpalił. Pieczara wydała się
— piekłem. Przewodnik gwizdnął na palcach, i w tej
chwili odezwało się groźne echo.

— Kieby tak zakłęcia jakowe znać — ozwał się
góral — i Rycerzy śpiących obudzić... Oj cudowaliby się
ludziska!...

Ale o Rycerzach ani słychu, śpią kędyś w głębi
kamiennym snem!...

— A teraz do Krakowa — zakomenderował gó-
ral — gdy wyszli z groty na świat.

Krakowem nazywa się długi, fantastyczny parów,
który się ciągnie na lewo od skały Pisanej. Ściany wy-
glądają groźnie, powykręcane na wszystkie strony. Jest
tu Brama Floryańska, Kościół Maryacki, Ratusz. Szcze-
gólną uwagę zwraca grot Matki Boskiej. W grocie tej
stał do niedawna posąg Bogarodzicy, obecnie pozostał
tylko postument i kawałki roztrzaskanej figury na dnie
groty.

Dolinę zamyka tunel długi 37 m. zwany Smoczą jamą.

Trudno opisywać każdy szczegół. Wspomnąć chyba
jeszcze wypada o Smereczyńskim stawie, który tego
dnia podróżni nasi zwiedzili. Brzegi jego są błotniste nie-
dostępne, nie tak, jak np. u stawów w Tatrach wscho-
dnich, gdzie ręką wodę czerpać można. Naokoło stawu
szumi las. Smereki odbijają się w głębi nie wodnej, co
daje bardzo malowniczy widok.

*

*

*

Ciężkie chmury rozsnuły się nad Tatrami. Deszcz od kilku dni pada. Turnie milczą. Giewont spowił się w szarą mgłę, drzemie, marzy o piękności, która znowu zaświta nad Tatrami, gdy chmury w dal ulecą.

Adaś siedzi w pokoiku na piąterku i pisze list do Janka, chłopskiego syna, z którym na jednej ławie szkolnej dwa lata przesiedział i którego serdecznie pokochał.

„Janku mój kochany!

List ten może Cię zastanie przy pracy na ojcowskim zagonie. Ubiegłych wakacyi miałem sposobność podziwiać Twoją wytrwałość, Twoje zamięłowanie do pracy na niwie.

I podczas, gdy Ty, przyjacielu drogi, razem z rodzicami błyszczącym sierpem złotą pszenicę żniesz, — ja zwiedzam Tatry. Jakże mi żal, że nie jesteś tu ze mną. Kiedyś może i Tobie uśmiechnie się to szczęście, gdy sobie pieniędzy zaoszczędzisz. Nim jednak to nastąpi, podzielę się z Tobą wrażeniami, których tyle nabyłem, że w duszy już zmieścić mi się nie mogą.

Byłem u Morskiego Oka, w Dolinie Kościeliskiej, na Giewoncie, na Czerwonym Wierchu. W ostatnich dniach przedsiębrałem wycieczki w najbliższe okolice Zakopanego. Były to wycieczki do Doliny Strążyskiej, doliny Bystrej, doliny Białego, na Nosal, do doliny Olczyńskiej, gdzie w lesie bije tak potężne źródło, że od razu wybucha tysiąc litrów wody. Źródło to nosi nazwę „Wywierzyska olczyńskiego”. Piękną jest Siklawica, wodospad pod reglami u stóp Giewontu. Zwiedziłem też wiele osobliwości, o których przedtem nie miałem żadnego pojęcia. Teraz dopiero otwarły mi się oczy.

Tatry obfitują w prześliczne krajobrazy. Niektóre są tak groźne i zarazem tak majestatyczne, że człowiek staje jak oniemiały! Szczególnie piękne widoki rozlegają

się w Tatrach wschodnich granitowych, gdzie jest mnóstwo jezior, stromych urwistych zboczy, nagich, szczytów zawrotnych, przepaści strasznych. Pewnego razu groziła mi już śmierć, o czym ustnie ci opowiem.

Tatry zachodnie, wapienne są niższe i łagodniejsze posiadają widoki. Jest tu mnóstwo grot podziemnych i jaskiń.

Na lodowce nie natrafiłem. Natomiast w głębokich żlebach po stronie północnej leżą zczerniałe ławy wiecznego śniegu. Idąc w góry widzisz z początku gdzieś niedługo pole zasiane owsem, poczem wchodzisz w świerkowy las. Im wyżej, tem drzewa mniejsze, aż wreszcie rozściela się przed widzem kraina kosodrzewiny. Są to skarłowaciałe, ścielące się po ziemi sosny i tak poplątane mają gałęzie, że przejść przez nie nie można. Jeszcze wyżej znajdują się trawiaste obszary, zwane halami, na których górale wypasają stada owiec i bydła. Na halach porozsiewane są liczne szałaszy. Ponad halami sterczą turnie, tj. grzbiety zupełnie nagie i skaliste.

Pomiędzy grzbietami znajduje się mnóstwo dolin i jarów, przez które przepływają rwące potoki.

Opowiadali mi górale, że z początkiem zimy zaczyna tu wiać z południa suchy i ciepły wichur, zwany wiatrem halnym. Wiatr ten wyje przeraźliwie po turniach i zboczach. Opowiadają też, że nieraz w jesieni tak zwane suche dymy przysyłają Tatry, które wówczas wydają się, jakby były w odległą dal odsunięte.

Najpiękniejszym zjawiskiem ma być żarzenie się gór w jesieni przy zachodzie słońca. Wówczas turnie wydają się, jakby ich ogniem obsypał, albo jakby płomienie piekielne wydobywały się z głębi żlebow i oświećlały je złowrogą łuną.

Zebrałem okazały zielnik, złożony z ziół tatrzańskich. Mam kilka gatunków dzwonków, jaskrów, kaczątków, białych ostów, goździków, których nie spotyka się na równinach.

Szczególnie piękną jest szarotka, rosnąca na skalnych szczytach. Pokażę Ci to wszystko po przyjeździe.

Miałem wielką ciekawość zobaczyć choć jednego świstaka, kozicę, o których piszą w książkach, a które podobno żyją w Tatrach. Niestety nie widziałem ich. Nawet orla w powietrzu szybującego nie mogłem zauważyć. Wytępił je ludzie.

Z góralami zaprzyjaźniłem się serdecznie, jeno, że to są ludzie trochę zepsuci przez letników. Są oni bardzo interesowni i za co bądź słono każą sobie płacić. W dalszych wioskach od Zakopanego, co prawda zepsucie to jeszcze się nie rozszerzyło.

W wolnych chwilach opowiada mi ojciec, dzieje tego ludu, który się o wiele różni od ludu reszty kraju.

Otoczenie ślicznej, majestatycznej przyrody działa na ich dusze i umysły. Lubią poezję i muzykę, tańce, zabawy. Do oświaty gańną się szczerze. Wolność cenią nad wszystko. Historya mówi, że w czasach wojen szwedzkich — całe Podhale zebrało się na pomoc niešťczęsnemu królowi Janowi Kazimierzowi, ale pomoc ta nie doszła do skutku. W r. 1846 lud w Chochołowie urządził powstanie. Liczne zastępy postanowiły złączyć się z powstańcami na ziemiach polskich i znów usiłowania górali nie wydały owoców.

Nie dziw więc, że wśród nich panuje gorąca miłość ojczyzny. O „Śpiących rycerzach“ w Tatrach wie każde dziecko góralskie i żywi złudną nadzieję w duszy, że ci Śpiący Rycerze kiedyś wstaną, by oswobodzić Polskę. Jest to, rozumie się, baśnią tylko, lecz baśń ta

o tyle może się sprawdzić, że nie rycerze zakłęci, ale ten lud podhalański zajaśnieje kiedyś chwałą w pierwszych szeregach zbawicieli Ojczyzny!...

Za wiele piszę, a Ty mało zapewne masz czasu do czytania. Po powrocie moim wiele, wiele Ci opowiem tymczasem

serdeczny uścisk przyjm od

Adasia

* * *

Jak w raju płynęły Adasiowi dni wakacyi w tem czarownem ustroniu górskiem. Pogoda sprzyjała wycieczkom w różne okolice Tatr. Chłopak nabrał sił i stał się rzeźkim i lekkim, jak ptak. Gdy po ukończeniu roku opuszczał mury szkolne, był blady jak kreda, dziś twarz jego zarumieniła się, jak różyczka na polnej miedzy. Kiedy sobie przypominał, że niebawem musi opuścić ten kraj dziwny i wrócić do pracy — smutek na chwilę go ogarniał, ale z drugiej strony potęgowała się w jego duszy chęć do nauki, aby się stać godnym synem tej pięknej, polskiej ziemi.

Pewnego dnia przyniósł listonosz kilka listów. Między tymi był i dla Adasia od Janka. Adaś rad byłby zaraz czytał, ale czasu nie było, bo ojciec, po przeglądnięciu swoich listów, musiał natychmiast wyjechać w ważnych sprawach do Krakowa. Adaś odprowadził go na stacyę i długo patrzył za odjeżdżającym pociągiem. Wprawdzie ojciec obiecał mu, że drugiego dnia wróci, ale smutek dziwny ogarniał chłopca.

Gdy już pociąg znikł mu z oczu, a jeno czarna smuga dymu widniała w dali na lazurowym błękitie nieba, udał się chłopczyna nad niedaleką rzekę i usiadł na urwistym jej brzegu.

Tu wydobył list Janka, rozdarł kopertę i począł czytać:

„Przyjacielu najdroższy — pisał Janek — cieszę się ogromnie, żeś tak szczęśliwy, że Ci tak przyjemnie dni lecą. Duszą jestem z Tobą i dzielam twoje zachwyty. Zdaje mi się, że to ja siedzę w tych pięknych górach razem z Tobą, a w rzeczywistości siedzę we wsi swojej rodzinnej i wierzaj mi, że niema na świecie nic od niej piękniejszego, nic droższego. Jak ja tu wszystko i wszystkich kocham! Wyobraź sobie; ubieram się po chłopsku, biorę sierp i idę z rodzicami na zagon. Skowronek ostatnich dośpiewuje piosnek. Dusza się rwie nuć mu do wtóru, a rola rodzinna miodem pachnie. Jest mi wesoło i dobrze. Wszyscy mię kochają serdecznie. Ty może nie wiesz, ile to szczęścia odczuwa człowiek, gdy się do niego uśmiechają przyjaźnie, śniade chłopskie twarze!

W twarzach tych okropny czytam ból i wielką miłość ukrytą widzę w nich. Wszak to oni, ci chłopi dźwigną ojczyznę naszą z gruzów, tak jak ją stworzyli. Bo przyznasz, „że Polskę stworzyli potomkowie kmiecia Piasta...”

Adaś przewał czytanie, bo mu łzami oczy zabiegły. Ku wichrom patrzy, to na bystry bieg rzeki spogląda. W głowie dziwne wirują mu myśli: „Ród kmiecy potęgę dał Polsce... Ród ten dźwignie ją jeszcze z dzisiejszej niewoli...”

— Ho, ho, a co to kolega robi? — zagadnął Adasia jakiś student, zbliżając się.

— Siedzę — odparł sucho Adaś.

— Ha marzyciel, może poeta jaki — ozwał się drugi student. — A skąd kolega, jeśli wolno wiedzieć, czy z Krakowa?

Adaś milczał. Ogarnęła go nieśmiałość, a może Stróż Anioł ostrzegał go, aby nie wdawał się z tymi chłopakami.

— No mówić — nalegał pierwszy — nie chcesz? O, o, widzę pan kolega czyta list, zapewne od jakiejś panienki.

Obaj przybyli poczęli się śmiać. Adasia to rozgniewało.

— Proszę, przeczytajcie, jeśliście ciekawi i nie sądzicie nikogo zawczasu:

To mówiąc, oddał im list. Starszy z przybyszów począł czytać parę tu i owdzie urywkowo wierszy:

„Rola miodem pachnie... cha, cha, cha, cha... słyszysz, Władziu, rola pachnie miodem... a to „kolosalne“, to „piramidalne“. Słuchaj dalej: „Ci chłopci dźwigną ojczyznę naszą z gruzów...“ Nie, mój paniczu — rzekł do Adasia — panicz ma bzika... że takie listy czyta, któż to je pisze, zapewne chłopski syn?

— Tak — odrzekł Adaś.

— Oj, kolego, dałby sobie kolega spokój — ozwał się student nazywany przez drugiego Władkiem — chodź z nami raczej. Wybieramy się dziś w góry.

— Obchodziłem już dosyć — odparł Adaś.

— Zapewne razem z tatkiem lub mamusią... Przyjemność wielka — odrzekł znowu Władek, śmiejąc się, a towarzysz jego dodał:

— Tak, tak, są jeszcze na świecie mamine synki... Chodź, Władek, schowamy wędki i wybierzemy się na Giewont, bo nasi już pewnie dawno poszli... Papierosy masz?

Władek wydobył papierosnicę, potraktował kolegę, a następnie Adasia. Ten ostatni się wzbraniał, ale chłopcy tak nalegali, że w końcu przyjął i... zapalił.

Po kilku pociągnięciach dymu, zaszumiło mu w głowie, uczuł dziwny zwrot, wreszcie zakaszał się, z czego nieznajomi poczęli się mocno śmiać.

Adaś wstydził się trochę, radby był uciec, ale wesełi chłopcy widocznie uwzięli się pozyskać go do swego towarzystwa. Po upływie kwadransu Adaś uległ i udał się za nimi.

Z początku ogarniał go dziwny lęk, ale powoli zaczął sobie tłumaczyć, że to przecie nic złego, że to są uczniowie, jak i on i że wolno mu z nimi pójść w góry. Jedno tylko gniewało Adasia, a mianowicie, że nowi ci towarzysze zachowywali się na ulicy, jak łobuzy, gwizdali, ciskali kamykami do ogrodów, i inne wyprawiali psoty.

Doszli na przełaj przez park do Kuźnic. Tu czekali na nich trzej chłopcy, ubrani nie po studencku. Mieli tłumoczek z różnemi rzeczami, potrzebnemi na wycieczce, a zakupionemi właśnie w sklepie i w szynku. Zażądali oni składki od Adasia i dwóch jego towarzyszy. Składka ta wynosiła koronę, Adaś właśnie miał przy sobie taką kwotę, pozostawioną mu przez ojca na drobne wydatki przez czas swojej nieobecności.

Wesoła ta kompania wyruszyła w góry, śpiewając i figlując po drodze. Jeden miał wyostrzoną ciupagę, którą zaciosywał drzewa w celu pisania na nich różnych nieprzyzwoitych wyrazów.

Wśród śmiechu i wesołości zaszli na halę, gdzie stało kilka szałasów. W jednym z tych spał juhas, reszta były puste. Psotnicy ponapisywali po ścianach kredą różne dowcipy, poczem do garnka z mlekiem, tuż obok śpiącego górala, wrzucili kamień i następnie szybko czmychnęli, przedzierając się wzdłuż spadzistego potoku w górę.

Weszli nakoniec w głęboki jar i tam rozłożyli się obozem. Rozpalili ognisko. Odkorkowali butelkę i zaczęli z niej kolejno pić. Na ostatku dostała się butelka i Adasiowi. Wzbraniał się, ale go wyśmiali i przymusili do napicia się. Pociągnął raz i drugi — dobra. Zakąsił kielbasą, zapalił razem z innymi trzeciego już dzisiaj papierosa i zaczął się teraz bawić jak i drudzy.

A zabawa była tem ciekawszą, że towarzysze mieli rewolwery i urządzili strzelanie do tarczy, sporządzonej z kawałka gazety. I na Adasia przyszła kolej dwa razy wystrzelić. Serduszko w nim drżało, albowiem nigdy jeszcze nie miał broni palnej w ręce. Strzelił na chybił trafił, a towarzysze w śmiech.

— Oj ty babski synu, niezdaro... Któż strzela do chmur zamiast do tarczy.

Adaś przygryzł wargi. Wstydził się istotnie, że taki z niego niezdara.

Gdy już strzelanie się skończyło, zabrał głos najstarszy:

— A teraz koledzy na Giewont, mam pudełko prochu, rozsadzimy nim kawał skały na wieczną rzeczy pamiątkę.

— Brawo, brawo — krzyczeli drudzy i poczęli się zabierać w podróż ku Giewontowi.

I Adaś nabrał zapału. Wódka rozgrzała mu krew. Śmiał się, skakał, śpiewał, co towarzyszy bardzo cieszyło.

— Jakże to miło, jak przyjemnie, jak wesoło. Teraz przypomniał sobie opowiadania bacy; zdawało mu się, że jest obecnie zbójnikiem w bandzie zbójckiej, że wyruszają na niebezpieczną wyprawę.

Drapał się za drugimi po skałach, kilka razy się pośliznął, ale nie robił sobie nic z tego, chciał być od-

ważnym, chciał tą odwagą zadziwić tych, którzy dopieroco wyśmiewali jego niedołęstwo. Oto już stoi nad urwistym brzegiem przepaści. Nie boi się, patrzy w otchłań, czuje dziwny zawrot w głowie, coś jakby na skrzydłach się unosił... nagle okrzyk przerażenia wokół słyzy... ciemność go ogarnia i straszny, straszny ból!... Za chwilę już nic nie widzi, ani słyzy — ogarnia go sen, sen — wieczny!...

*

*

*

Na cmentarzyku górskim w cieniu szumiących jodeł stoi kamienny krzyż, a na nim wyryty napis:

„W zaraniu młodości zgasło jego życie z winy złych ludzi. Przebacz mu Boże jego błąd a tym, przez których zginął, daj upamiętanie!“





BABIA GÓRA.

Jasne, lipcowe słońce weszło ponad grzbiety Karpat, zalewając je powodzią światła i ciepła. Obudziło się w nich niezmierne życie, coś — jakby puszczono w ruch olbrzymią maszynę... Na polanach dźwięczą doniośle i grają dziwną jakąś melodyę dzwonki trzód, pasterze dopełniają tej melodyi grą na fujarkach i świegotliwe ptactwo dawno ze snu zbudzone, nuci wesołe pieśni na cześć Stwórcy, co stworzył tak piękny, tak czarownie piękny górski świat... Po stokach gór szumią leniwie jodły odwieczne, zda się, pacierz poranny ślą w jasny błękit nieba i strumyki po jarach wtórują im hałaśliwie. A niżej, w wiosce, co się nad urwistymi brzegami huczącej, przeźroczystej rzeki długim różańcem rozesała, od świtu pracują już górale.

Dźwięczą kosy po ogrodach i rolach, migotają w słońcu stalowe sierpy. Tu i ówdzie cieśle wykańczają budynek, stukając toporami o belki białe, z jodeł olbrzymich i prostych jak świece u ołtarza, wyciosane...

W pośrodku wsi, przy pochyłym od starości kościółku, co bardzo dawne czasy pamięta — czasy naszej wolności — stoi nowa murowana szkoła, we wszystkich jej oknach czerwienią się kwiaty, a dokoła niej rozsiadł się starannie utrzymany sad z ogrodem, z dużą altaną u smerekowego żywopłotu.

W altanie zasiadło do śniadania towarzystwo, złożone z młodziutkich osób: Feli, Oldzi, Janki, Stefka i Cesia. Pozostawione przez matkę jeszcze jedno nakrycie wskazywało, że brakło kogoś z tego towarzystwa, że się ktoś spóźnił.

Wszyscy czekali dobrą chwilę na niepunktualnego towarzysza, lecz wreszcie, wśród ogólnej wesołości na temat lenistwa, zabrano się do śniadania.

— Zjedzmy śniadanie bez Edzia — zaczęła Fela, trzynastoletnia panienka, najstarsza wśród obecnych — niech leniuszek nie śpi tak długo...

— Dobrze, jeśli gospodyni rozkazuje — odpowiedział Stefek — Fela jest naszą gospodynią obecnie — dodał, śmiejąc się z własnego konceptu.

— A kiedy tak, kiedy uznajecie mię gosposią, to wykorzystuję to i zaczynam dawać — rozkazy... Nasamprzód więc niech Ceś opowiada o Babiej Górze...

— Może niech poczeka na Edzia — wtrąciła Janka.

— Jeszcze co? — ofuknęła ją Oldzia — leniuszek śpi... dobrze mu tak, niech żałuje.

— Słusznie — odezwały się głosy.

— No, to opowiem — zaczął Ceś — ale okrutnie jestem zmęczony... Tyle mil po górach...

— Co tam zmęczenie. Wstydz się. Do trzeciej gimnazjalnej idziesz, toś młodzian. Siostry powinny cię wyśmiać — rzekła wesoło Fela — Opowiadaj!

— Myślicie, że potrafię? Aby opisać wrażenia nabyte w tej dwudniowej podróży — potrzeba co najmniej pióra jakiego zdolnego literata... No, ale pokuszę się... zaczynając: Babia Góra leży w Karpatach, a mianowicie w Beskidzie zachodnim i jest jego najwynioślejszym szczytem...

Wszyscy parsknęli śmiechem. Ceś wypatrzył się zdziwiony.

— Takie rzeczy słyszeliśmy jeszcze w trzeciej klasie szkoły ludowej — zauważyła Oldzia.

— Babia Góra z daleka przedstawia się jako pochylony stożek — mówił dalej poważnie Ceś, lecz znowu mu Janek przerwał:

— Widzimy to w tej chwili.

To udobruchało Cesia, zaczął ponownie: Mądrzyście wszyscy tu, w domu, ale gdyby wam przyszło zajrzeć bliżej w oczy tej Babiej Górze — to nie śmialibyście się, a zapewne i na płaczby się nie jednemu zebrało... Jak wiecie, wyszliśmy po obiedzie. Skwar był okrutny. Często popijaliśmy wodę w górskich źródłach, szliśmy jednak wytrwale i o godzinie ósmej stanęliśmy u stóp „Babci“. Okolica tam jakaś posępna i nie swoja. Szliśmy bowiem kawał przez ziemię węgierską, choć przez Polaków zamieszkaną. Ziemia ta należała za Bolesława Chrobrego do Polski, później odpadła i dziś dzierżą ją Węgry. Między ludnością polską są gęsto rozsiani Słowacy i właśnie zagościliśmy na nocleg do Słowaka. Mądry to był chłop. Codziennie gazety słowackie z Pesztu, otrzymuje; gospodarz z niego też nie kiep, choć jeno owies i ziemniaki rola jego rodzi. Przyjął nas serdecznie i bardzo chwalił, żeśmy tacy mali, a mimo to podjęliśmy się tak nużącej wycieczki. Długo w noc, śpiąc z nami na sianie w stodole, rozmawiał, wypytywał o miasta, o okolice i nam wiele opowiadał. O trzeciej rano zbudziła nas gospodyni, stawiając na stole w chacie dyumiący garnek prażonego mleka. Podziękowawszy im serdecznie ruszyliśmy dalej...

Ciężko jednak było, bo mgła nas zupełnie pokryła i ledwie o parę kroków przed sobą można było co widzieć. Przewodnik nasz stracił drogę. Weszliśmy w olbrzymi zrab, brodząc po rosie w pas. Pod stopami ugi-

nały się nam olbrzymie wiechy borówczane, objuczone
rzęsiście czarnemi jagodami. W około olbrzymich pni
czerwieniły się poziomki. Jenó je rwij, a jedz, lecz szliśmy
dalej, na oślep. Natrafiliśmy nareszcie na wąską perć
prowadzącą w górę. Mgła nie ustępowała. Szliśmy przez
dwie godziny. Ostatecznie z pomiędzy niezmiernie wiel-
kich jodeł błysnęło słońce z ponad mgły, a po paru
minutach ujrzeliliśmy nagi stok góry, sięgający obłoków.
Ścieżyna jednak odtąd zaczęła się zniżać i radzi nie ra-
dzi pożegnaliśmy ją, drapiąc się na czworakach wśród
kosodrzewiny ku stokowi góry. Ciężkie to było drapanie
się. Obmoczeni po pas, w butach pełno wody, z czoła
spływał nam pot strumieniami. Okrutnie było ciężko.
Ostatecznie dostaliśmy się na wygodną ścieżkę i o go-
dzinie 7 rano stanęliśmy na samym szczycie. Ułożono
tam kilka stosów kamieni, aby za nimi mogli turyści
schronić się przed wiatrem. Schroniliśmy się czem prę-
dziej, bo zimno dokuczało nam okropnie. Jeden z kole-
gów rozniecił ogień. Ogrzaliśmy się trochę, osuszyli i do-
piero wtedy zaczęliśmy się rozglądać. Cudny był widok.
Naokoło, jak okiem sięgnąć leżało przed nami — morze...

— Bredzisz — przerwała mu Olga.

— Bynajmniej. Mgła tak się pięknie wokoło na
całej okolicy ułożyła równiutko w płaszczyźnie pozio-
mej, że dawało to zupełne złudzenie mōrza. Nie była
to jednak spokojna tafla wodna, lecz olbrzymi ocean
srebrnych fal, błyszczących w słońcu przedziwnie. Nad
nami zaś lazurowy strop nieba, na którym ani cie-
nia, ani jedynej chmurki nie było, jenó słońce coraz
wyżej wytaczało się i słało powódź blasków, co aż
oczy ubezwładniały. Przytuleni do siebie patrzyliśmy
na ten cud, nic przez długi czas nie mówiąc.
W tem nagle po jednej stronie, tuż na wprost słońca

wynurzyła się z oceanu olbrzymia masa mgły i uformowała się w bajeczną postać smoka, z otwartą paszczą. Płynęła ku nam. Zdawało się, że nas pochłonie, lecz wnet zaczęła się rozwiewać i za parę minut znikła w lazurze niebieskim. Za nią jednak wyrwała się druga, trzecia itd. aż wreszcie odsłoniła się nam rozległa okolica, zamknięta wyniosłym łańcuchem Tatr! W przeciągu godziny znikła mgła zupełnie. I właśnie chwilę tę opisać bardzo trudno... Przed nami cudny krajobraz ku Węgrom, widok na Tatry i na północ, kędyś po Kraków. Tu i ówdzie błyszczały w słońcu białe punkciki. To kościółki po wioskach górskich. Lasy świerkowe, niby wieńce zielone okalały grzbiety gór, gdzie-niegdzie lśniła polana jasno zielonym łanem owsa. A w dole, tuż pod stopami naszymi szumiały cicho bory i wodospady w strumykach. Spojrzeć w tę przepaść głęboką -- okropność. Babia Góra bowiem sięga wysokością do 2 km. nad poziom morza, a od strony wsi Zawoji jest bardzo stromą.

Wyryliśmy na kamieniu u szczytu swoje nazwiska i datę i poczęliśmy się zniżać powoli po zaspach śniegu, stwardniałego jak kamień. Po dziesięciu minutach drogi spotkaliśmy schronisko, zbudowane przez niemieckie Towarzystwo Beskidów. Drogo jednak kosztował tam posiłek. Przez trzy godziny szliśmy z powrotem i nigdzie ani śladu żywej duszy. Jeno jeleń przebiegł nam czasem drogę, lub zakrzyczały spłoszone olbrzymie głuszce. Widzieliśmy też i żmiję długości około ¹/₂ metra. Leżała wokoło pnia, jak drag olbrzymi i wygrzewała się do słońca.

— Aj, — wrzasnęła Olga — nie opowiadaj, nie lubię tego słuchać.,.

W tej chwili nadszedł Edzio zaspany, nie umyty. Wszyscy zaczęli się z niego śmiać, lecz Ceś im przerwał:

— Wrażenie po tej wycieczce pozostanie mi na zawsze w duszy... Byliśmy przecież tak blisko Boga... Ten olbrzym, ten Góra od wieków nasza, sterczy ku Niemu i wydaje z siebie jęk, bo gniecie ją niedola sroga. Ona wolną była, do wolnej Ojczyzny naszej należała, stojąc na jej straży...

Z powrotem zaszliśmy do chaty górala Polaka. Biedny był, bo jedną jeno miał krowinę. On nam to opowiadał, że wewnątrz góry istnieje olbrzymia piwnica, a w niej dziad siwy strzeże rycerzy śpiących. Dziwił się góral, żeśmy wejścia do tej groty nie zauważyli; bylibyśmy z pewnością słyszeli szcęk oręża, albowiem rycerze budzą się ilekroć, kto na górze tej stanie. A myśmy przecie na samym szczycie gorące modły nieśli do Boga, by tej ziemi naszej, tak pięknej, tak cudnie pięknej, zmiłowanie swe zesłał, by nas wyzwolił z więzów.

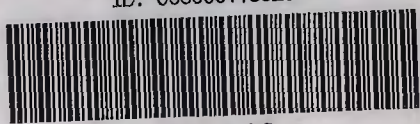
Bystra 30. lipca 1905.



X
Jan. 1064.



Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030001135255



II 1079040

